Rok VI. Lwów, Niedziela dnia 26. Października 1879 r. Tom IX

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 39.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego

CHAITA.

OBRAZEK.

przez

Elizę Orzeszkową

(*Ciąg dalszy.*)

Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który otoczony nizkiem ogrodzeniem i osadzony mizernemi drzewkami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobiegły prędzej. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok Mendelkiem, szli zwolna, trzymając się za ręce i rozmawiając o rękach olbrzyma, których wielkość napełniała ich podziwieniem, o prześlicznej różowej bluzie jego i piękniejszych jeszcze od niej trawiastozielonych inekspryniablach. Po drodze zatrzymywali się przed niektóremi z wystaw sklepowych, tu z otwartemi szeroko ustami przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziej uśmiechając się z rozkoszą na widok spiętrzonych wysoko bułek i rogalów, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich, malutki Mendele w różowym spencerku i niezmiernie z pod spencerka zwisających białych tasiemkach, wyciągał nawet obie ręce. Ale Chaimek o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogalów tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nicby się im nie przydały, ponieważ są trefnemi. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu trefu. Chaimek znał fakt, ale wytłumaczyć go przyjacielowi nie umiał, powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się i bardzo już jest uczonym i nabożnym, zapytają go o to. Jakoż gdy rozmawiając w ten sposób weszli na bulwar, ujrzeli siedzącego na ławce wyrostka w długiej, szarej surducinie i czapce nizko na czoło nasuniętej. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego z gromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, lub młodszych nieco, którzy wszyscy gwarząc, opowiadając sobie o czemś sprzeczając się nawet, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu, albo mistrzowi jakiemuś. Widocznie, mały Enoch, słynący z tak wczesnej uczoności i nabożności swej, zajmował śród rówieśników swych stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych, którzy szanowali i podziwiali go nawet wielce. Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było w rzeczy samej świetnem, i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana twarz małego mędrca, była tak bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, tak głęboko zapadły, i na świat patrzały z wyrazem tak dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniej jeszcze poważnym... Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z której słynął, gromadząc mu się w głowie wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby owa wielka nabożność, którą tak wcześnie się odznaczał, zdjęła mu małą szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała ją nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i podnosząc ku poważnej tw... starszego towarzysza twarzyczkę swą okrąg... ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał: „Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest tref i koszer, dla czego nie wolnoby nam jeść bułek tych, których tam za oknem piekarni tak wiele?“

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz, i już, już odpowiadać zaczynał dwom stojącym przed nim malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tem dawno już wiedzą, zatem i słuchać więcej nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiej piękną jaką historję. Enoch mnóstwo pięknych historji umie. Nauczył się ich w chederze, (przeszedł już bowiem całą pięcioksiężnicę i znajduje się obecnie w studjum elementarnej nauki Talmudu, z komentarzem Rasze, i słyszał nieraz jak opowiada je ojciec jego, uczony Szymszel, gościom swym, żonie swej, a nawet niekiedy, w braku słuchaczów, i samemu sobie. Enoch tedy mnóstwo historji pięknych na pamięć umiejąc, chętnie, choć ze zwiększoną jeszcze powagą, opowiada je towarzyszom. I teraz także w krótkich słowach wyjaśniwszy Chaimkowi znaczenie trefu i koszeru, w sztywnej postawie i z poważnemi gestami rozpowiadać on zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli — plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszniejszych historji Enocha Plagi po plagach następują tam długim szeregiem, a jedna od drugiej jest straszniejszą. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemem osłupieniu i wszystkie jednocześnie podnoszą twarze i oczy w górę, chcąc przekonać się, że nad niemi świeci jeszcze jasne i ciepłe słońce letnie. Mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury szarańczy — nie mają one bowiem dokładnego pojęcia, jak stworzenia te wyglądać mogą, a wyobrażając sobie, że są czemś nakształt owadów tych, które przepełniają izdebki ich rodziców, nie czują ku nim wielkiego wstrętu. Różczka Mojżesza za to przemieniająca się w węża, zajmuje niezmiernie ich wyobraźnię Coby to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko czego zażąda! Mały Mendele naprzykład przemieniłby na-

ych miast kamyczek leżący u stóp jego w piękną, żółtą, pulchną chałę, a Chaimek rozkazałby uschłej gałązce, którą trzyma w ręku, ażeby stała się taką piękną różą, jak była owa róża zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczów zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je od czasu do czasu różne drobne epizody, związku z nią nie mające. Tak np. gburowaty i gapiowaty Mordko, syn krawca Gerszuna, chcąc znaleźć się bliżej opowiadającego, popchnął łokciem Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił, upadł i głośno zapłakał. Chaimka oburzyła krzywda wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzonem okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczem nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zwalane piaskiem, pogładził policzek jego zalany łzami i mocno go potem objąwszy, ramieniem do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całem powstał wypadkiem tym wywołany ruch i gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszej mierze nie zważał, i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano, opowiadał dalej i ożywiał się nawet coraz więcej. Wytrwałość ta przyniosła jak zwykle skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kulminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczów na nowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła. Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne. Słuchano o niej z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi i głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnic pomiędzy narodowościami świat ten zamieszkującemi, i nie wiedziały o tem, że jedna z narodowości tych nienawidzieć może drugą i cieszyć się z jej nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały też pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskimi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnionego wyżej stopnia mądrości i nad pierworodnymi egipskimi litości najlżejszej nie uczuwał. Z błyszczącem okiem i szerokiemi gestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owem fatalnem wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy — nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta w białej, powłoczystej, lekkiej jak obłok sukni, z ciemnemi splotami jedwabistych włosów nad czołem i — z ogromną wiązią prześlicznych kwiatów w ręce, obciągniętej lśniącą rękawiczką. Była to wysoka, piękna i strojna pani, po obu stronach jej szli też wysocy, piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale najlżejszej nie zwracając uwagi na to, iż odbiegli go słuchacze jego, prawił z coraz większym zapałem historję swą, i dwom drzewkom melancholijnie powiewającym nad ławką mizernemi gałązkami, opowiadał o przejściu Mojżesza i izraelitów przez morze Czerwone. Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła ona w swej dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, oddawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł jego utonął całkiem w poważnych studjach nad przedmiotami wiary i wiedzy.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziej lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwyt ich budzącem. Gromadą całą biegli oni za panią w białej sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki ich napełniały powietrze wrzawą ogłuszającą. Chaimek szczególniej nie mógł oderwać oczu od ogromnego i prześlicznego bukietu. Dotąd, widywał on tylko kwiaty malowane na starych sukniach wtłoczonych w kosz starej Chaity, albo te, które z nikłą barwą i zmiętem, martwem obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietniskach podejmowane przez nią kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swem nie widział on kwiatów żywych, wonnych, świetnych gorącemi barwami, operlonych jeszcze srebrnemi kroplami. Teraz zobaczył je i drżał aż cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał on nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać biegowi towarzyszy, usiadł na środku bulwarowej ścieżki i rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy mniej śmieli, albo może z natury swej mniej namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewnem oddaleniu, palcami tylko ukazując ją i jej bukiet. Ale Chaimek zabiegał jej wciąż drogę, i wyciągając obie ręce ku jej kwiatom, roziskrzone, błagalne oczy ku niej podnosił. Zdjęty nieśmiałością usuwał się potem, aby wnet znowu, z tym samym gestem i wejrzeniem zabiedz jej drogę. Ona nie zważała przez chwilę ani na dziecko, ani na ruchy jego wpół nieśmiałe, wpół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jej i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stanęła wtedy i ze zdziwieniem zrazu, potem z uśmiechem na dziecko spojrzała. Pochyliła się i końcami palców dotknęła jego ramienia. Źrenice jej szafirowe, łagodne, ze srebrzystym połyskiem, spotkały się z nieśmiałemi a roziskrzonemi jak czarne brylanty oczami dziecka. Okrągłą twarzyczkę jego oblewały ogniste rumieńce, drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Schylona nad nim, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym, powolnym ruchem dotknął końcem palca jej kwiatów. Zaśmiała się srebrzyście i miękko zarazem, dłoń jej spoczywała już teraz na gęstych jego kędziorach.

— Poproś ładnie — rzekła — a może dam ci kwiatek z mego bukietu?

Chaimek stał przed nią nieruchomy i patrzał jej w oczy zalęknionem trochę i zdziwionem spojrzeniem, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się rozpłakać. Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego nie rozumiał, pierwszy raz bodaj dźwięki jego słyszał. Z twarzy jej i z głosu, z ruchu jej dłoni, która z miękką pieszczotą przesuwała się po włosach jego, domyślał się, że piękna pani była dlań łaskawą, ale czegoby chciała od niego, o co go pytała — nie wiedział. Odgadła to właścicielka bukietu.

— On mię nie rozumie! — zawołała, i w mgnieniu oka biała jej twarz powlekła się cieniem smutku. Potem łagodnie i żartobliwie trochę rzekła:

— Powiedz mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się tym razem, że kobieta uczy go wymawiania nieznanych jakichś wyrazów. Pojętność i uwaga odbiły się w oczach jego, które rozwarły się szerzej.

— Daj kwiatek! — uśmiechając się wciąż, mówiła kobieta.

Chaimek wyjąkał i wybełkotał zrazu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny dlań wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białej sukni wesoło i razem głęboko jakoś popatrzała mu w oczy, potem odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i podała je dziecku.

— Śliczne dziecię! — prostując się rzekła do towarzyszy swych i chciała odejść, ale Chaimek zawiesił się u jej ręki, którą okrywał namiętnemi pocałunkami.

(C. d. n.)

Z PODRÓŻY I PRZECHADZEK

PO POŁUDNIOWO-ZACHODNIEJ NORWEGJI.

Z LUŹNYCH NOTATEK SPISAŁ

STANISŁAW BEŁZA.

(Dokończenie).

IX.

Na Ringerike. — Droga. — Humledal. — Sundwolden. — Czy jestem w Anglji? Klewstuen.

Powiedziałem był już wyżej, że okolice Chrystjanji odznaczają się wielką malowniczością. Istotnie, rzadko która stolica europejska posiada u swoich progów taką rozmaitość widoków, jak stolica Norwegji, na którą natura zlała tyle wdzięków i powabów, iż obdzielić niemi możnaby wiele miast i wiele okolic.

Bo jeśli, podróżniku, nie przywykłeś do uciążliwych wycieczek i nie chcesz zapuszczać się w głąb kraju, to dosyć ci wdrapać się na najbliższe wzgórze po za miastem i spojrzeć przed siebie. Będziesz miał wtenczas jak na dłoni naprzód miasto z jego białemi i świeżemi domami przeglądające się w zwierciadle wód, a dalej nieco fiord przepyszny, długi i wązki, ozdobiony mnóstwem mniejszych i większych wysepek, jak Wenus wyłaniających się z piany morskiej. Fiord ten pokrywają o każdej porze dnia i nocy tysiącami parowe statki, wywożące z Norwegji drzewo, ryby, piwo i przywożące do niej węgiel i podróżnych.

Jeżeli cię podróż po morzu łódką nie lęka, to możesz znowu puścić się na Hovedö. Będziesz miał ztamtąd uroczą panoramę Chrystjanji, stare ruiny na wysepce, a może jeszcze w dodatku będziesz tak szczęśliwy jak ja i spotkasz w jakiej tam chatce jaką uroczą jasnowłosą nimfę, której oczy będą piękniejsze i od ruin i od panoramy. A kiedy wreszcie odbywszy te dwie podróże, zechcesz jeszcze widzieć coś więcej, a prze-

cież nie znużyć się tak jak ja, dajmy na to po Thelemarken, natencasz weźmiesz mały pakunek w rękę i wyruszysz na Ringerike.

Podróż na Ringerike chociaż tak bliska i nie nużąca, przecież tania nie jest. Mówiono mi już o tem w Chrystjanji, po powrocie z Miöseńskiego jeziora; temu też to przypisać należy, że nie wiedząc czy mi pieniędzy starczy, wprzód puściłem się do Thelemarken, której żaden podróżny po Norwegji nigdy nie pomija, a dopiero myślałem potem gdy mi środki dozwolą, Ringerike odwiedzić. Że jednak Thelemarken bardzo stosunkowo niewiele speciesów mi zabrała, przeto powróciwszy do stolicy Norwegji, po kilkodniowym wypoczynku puściłem się na Ringerike. I chociaż i pieniędzy wydałem bardzo wiele, nie żałuję przecież wydatku, bo w zamian dostałem tak piękne widoki, jakich dotąd jeszcze w Norwegji nie widziałem.

Dziwna rzecz, podróżując po Norwegji, w różnych które zwiedzałem stronach, dostrzegłem taką rozmaitość krajobrazów, jakiej na podobnej przestrzeni w żadnym kraju nie masz. Wszędzie są tam co prawda góry, Norwegja jest bowiem krajem wyłącznie górzystym, ale te góry tak niepodobne do siebie, jak niepodobne są np. Tatry do pagórków w okolicach Prądnika. Niedość że góry są niepodobne, ale różnią się także od siebie i doliny, jakie w łonie ich są uwięzione. Gdy bowiem doliny podmywane Miösenem wabią cię ku sobie miłośnie, doliny Thelemarken przerażają dzikością i nieledwie straszą. Na Ringerike znowu i góry i doliny i wody nawet, z tamtemi nie mają nic wspólnego.

Do Rzymu wszystkie drogi prowadzą; na Ringerike tylko jedna, przez Humledal i Sundwolden. Do Humledal ($1^5/_8$ mili) dojeżdża się z Chrystjanji koleją żelazną, ztąd do Sundwolden karjolę lub dwukonną bryczką. Ja szedłem piechotą i bardzo zrobiłem dobrze.

Wyszedłszy bowiem z wagonu kolei żelaznej, około prześlicznego mostu w Sandwiken, szedłem drogą prowadzącą do Sundwolden, która mnie ciągle podnosiła do góry. Droga bo też to droga. Naprzód prowadzi cię po nad wodą, potem gubi się w lesie, a nareszcie wyprowadza między dwa szeregi skał, stromych jak Giewont, a dzikich jak Zawrat w Tatrach. A kiedy nasyci twój wzrok widokami, jakich nie przywykłeś widzieć na tak małej przestrzeni kraju, skończy się nareszcie przepysznym wodospadem, który lubo bez porównania od Riukanu mniejszy, przecież cech dzikości pozbawiony nie jest.

Istotnie, co wyróżnia tę drogę i te strony od dróg i stron reszty Norwegji, to to właśnie, że na małym kawałku zgromadziła ona dużo piękności. Żeby się dostać do Listad, trzeba naprzód jechać koleją, mordować się na drodze Lysthusowskiej i narażać na niebezpieczeństwo na Tynie; żeby zwiedzić Hönefos i Ringerike, trzeba wprawdzie także powierzyć się zrazu parze, ale już na południe można jeść obiad wśród szumu uroczej kaskady, lub na szczycie stromej góry. To dogodne położenie tych okolic sprawia, że drogi te latem napełnione są podróżnymi. Otóż jak wszytko na świecie ma to swoją dobrą i złą stronę. Dobrą, bo milej spotykać w podróży ludzkie twarze, niż kruki i orły; złą, bo ponieważ podróżni ci rekrutują się wyłącznie z Anglików, ktorzy mają dużo pieniędzy i lubią niemi rozrzucać na wszystkie strony, przeto gdzie się tylko oni pokażą, podnoszą wartość wszelkich potrzebnych do życia produktów i tem samem mniej zasobnemu od nich, środki podróżowania umniejszają.

Doświadczyłem tego na sobie i to mnie nauczyło stronić w podróży od dróg, któremi Anglicy przeszli, nieledwie jak od zarazy.

Zaledwie uszedłem z małą milkę na drodze do Sundwolden, zmuszony zostałem postawić sobie zapytanie, czy ja przypadkiem, cudem jakim nie dostałem się do Anglji. Znikły bowiem wioski i chatki, znikli poczciwi moi Norwegczycy, a z tej i z tamtej strony zaczęły mi się przesuwać bezustannie chude sylwetki Anglików i śmiejące twarzyczki ich ryżych towarzyszek życia. Język ankielski dolatywał mnie ze wszystkich stron, a głośne krzyki angielskich woźnic napełniały powietrze.

Przypomniały mi się słowa Böhna, że po Norwegji podróżują prawie wyłącznie Anglicy. Tak jest, powiem nawet wyłącznie, bo tych kilku Niemców i Francuzów, którzy tu rok rocznie przychodzą, w rachubę brać nie należy. Jedni Anglicy są niestrudzeni w odwiedzaniu Norwegji, a jeżeli podróżując po Miösenu okolicach lub Thelemarkenu skałach, nie spotykałem ich tak wielu jak na drodze do Ringerike, to dlatego tylko, że jak mi mówiono, po tamtych stronach przywykli oni o wcześniejszych porach roku wędrować. Teraz np. byli masami pod Bergen lub Trontheim, albo też ciągnąc z powrotem do domu, Ringerike w kompanji zwiedzali.

Oryginalni są ci Anglicy w podróży! Tyle już napisano o tej ich oryginalności, a jeszcze nie wyczerpano wszystkiego. W Norwegji są oni może oryginalniejsi, niż gdzieindziej, bo tu czują się jak u siebie w domu, a choć w ogóle te splenowate dzieci Brytanji niewiele przywykły robić sobie ze świata, to jednak po drogach szwajcarskich, gdzie ich spotykają tłumy cudzoziemców, więcej może rachują się z utartemi w Europie formami. Tu nic ich nie obchodzi, nikt spokoju im nie zamąci, a mimo dziwactw i rubasznych manier w dodatku, miejscowa ludność przyjmie ich zawsze z otwartemi rękami, bo przyniosą jej oni to, czego najwięcej potrzebuje — pieniądz.

Anglicy po Norwegji podróżują towarzystwami. Na drodze do Ringerike spotkałem takich towarzystw kilka, a każde z nich liczyło po kilkanaście osób. Ze względu na dogodniejsze warunki gruntu, podróżowali tu oni własnemi powozami, najmując tylko konie od miejscowych wieśniaków. Byli więc istotnie jak u siebie w domu; we własnym koczu, z własnymi ludźmi zwiedzali te cudne miejscowości, sypiąc pieniędzmi na wszystkie strony.

O ile Anglik jest oszczędny i chciwy w ojczyznie swojej, o tyle rozrzutny i wspaniałomyślny bywa między obcymi. Pochodzi to z dwu przyczyn:

Po pierwsze: każdy prawy syn Albionu wie w czem spoczywa potęga jego kraju, będąc więc za jego granicami, na każdym kroku usiłuje dawać dowody, że potęga ta ani na cal się nie zmniejszyła.

Powtóre: nie znając, a nawet pomiatając językiem kraju, po którym podróżuje, tą tylko drogą dojść on może do zaspokojenia najpierwszych potrzeb życia.

Względy te bardzo zasadne w stosunku do niego, w odniesieniu do mnie przykre bardzo wywołały owoce, gdy bowiem przyjechałem do Sundwolden, tak wszyscy na stacji zajęci byli *panami Anglikami*, iż na kawałek chleba z masłem i kilka jajek czekać musiałem ze dwie godziny, a rozśmiano mi się w nos, gdym łamaną norwegczyzną posługującej mi *pige* (dziewczynie) oświadczył, że pół speciesa to nieco za to wszystko zawiele.

Sundwolden leży w uroczem miejscu. Z progu stacyjnego domku widok rostacza ono bardzo romantyczny. Góry i góry, a po za niemi błyszcząca jakaś niezmierna i nieograniczona łysina. To lodniki, których ląd stały Europy (z wyjątkiem jednej Szwajcarji) nazazdrościć się Norwegji nie może. Jakżeż żałuję, pomyślałem, że do lodników tych tak daleko, ale istotnie daleko; leżą one o kilkanaście mil ztąd, więc oczywiście marzyć o zwiedzeniu ich niepodobna. Trzeba się rozkoszować tem co jest, a rzecz to niebardzo dotkliwa, to bowiem co jest, nie wiem czy może być mniej pięknem od tego co byćby mogło.

Nie ja jeden napawam oczy moje rajskiemi widokami. Obok mnie stoi prześliczna Angielka i śmiejąc się głośno jak dziecko, jak dziecko z tego co widzi, cieszy się. Przy boku jej poważny siwawy już mężczyzna, nuci obojętnie jakąś niezrozumiałą piosenkę. Zapewne jej ojciec, pomyślałem.

— Ach! ach! — zawołała po francusku jasnowłosa—widzisz pan tę czarną chmurę i pokazała coś w górze.

— To nie chmura — zauważyłem — to stada dzikich ptaków!

Zawiązała się między nami rozmowa:

— Czy pan Francuz? — zapytała patrząc mi bystro w oczy.

— Nie, pani: jam Polak.

— Ach! jakie to szczęście. Pan Polak, a ja tak Polaków lubię. W domu mojej matki (biedna, ona już nie żyje) dawno, dawno... kiedym jeszcze maleńką była...

— Czy nie w końcu czasami zeszłego wieku — zauważyłem.

— Rozśmiała się głośno.

— Bywał u nas pewien pan z Polski. Przychodził do nas często, widywał się z ojcem, mamą, czytał im jakieś gazety, a nieraz gorzko płakał. O! pamiętam go dobrze. Był młody i piękny, włos jasny okalał mu wysokie czoło, a niebieskie oko błyszczało rozumem.

— Czy u was wszyscy tacy piękni?

— Jak pani widzi — dodałem skłoniwszy się.

Znowu się rozśmiała. Nastała chwila milczenia.

— Wie pan co, ten pański rodak miał do mnie dziwną jakąś słabość. Często brał mnie na kolana i mówił że się ze mną ożeni, jak urosnę. Nie dotrzymał słowa niewdzięczny, a ja tak pragnęłabym być w Polsce.

Dziewczyna ta zajęła mnie bardzo. Nie bacząc więc na obojętność Anglika, który pozostał na stronie, poprosiłem ją by usiadła i zacząłem jej opowiadać długo o ojczystym kraju moim. Słuchała z uwagą, z taką uwagą, iż zdało mi się żem znalazł w niej siostrę. Byłbym się z nią nigdy nie rozstał, gdyby nie zbliżenie Anglika.

Zrobił ruch niecierpliwości.

Powstała nagle z miejsca i podała mi rękę.

— Do widzenia w Warszawie.

I zwracając się do swego towarzysza, rzekła po angielsku:

— Ten pan Polak, — a ten — powróciła do francuzczyzny — mój narzeczony.

Skłoniliśmy się sobie. Odeszli. Długo jeszcze w noc pozostałem na miejscu i myśl moja nie-

chciała odbiedz od tej dziewczyny, która miała tak starego konkurenta.

Wyglądał na jej ojca — jeżeli nie na coś więcej jeszcze.

Nazajutrz, kiedym się obudził, stacja była opuszczona. Całe Towarzystwo angielskie równo z rankiem wyjechało do Chrystjanji.

Opisywać szczegółowo tej drogi nie będę. Powiem więc tylko, iż po opuszczeniu Sundwolden, idzie się już w towarzystwie stromych skał do samego Kroklewem,na szczycie którego znajduje się gospoda Klewstue, gdzie dostać można przewodników, dla zwiedzenia piękniejszych] górskich widoków.

Mamy tu widoków tych dwie kategorje: *króla* i *królowej*. Zwiedziłem i jedne i drugie i mimo uszanowanie moje dla płci nadobnej, powiedzieć muszę, że powaby jakie mi *król* roztoczył, były o wiele piękniejsze od tych, jakie mi *królowa* przedstawiła. I tu i tam ta sama dzikość, ale gdy *królowa* nuży twe oko dziwną jakąś jednostajnością, *król* natomiast wprowadza cię w świat groźby i fantazji, który cię porywa, unosi i usypia. Z obu szczytów widać w dali jeziora i morze, a z *króla* przez lunetę dostrzegłem nawet kilka okrętów na fiordzie.

W Hönofass przepyszna ta droga kończy się, a kończy kaskadą wód.

Dochodzę do miasteczka (1000 mieszkańców), choć jeszcze nie widziałem wody, usłyszałem przecież szum straszny, który mi Riukana przypominał. Wszedłszy w mury miejskie, ujrzałem wodospad. O wiele mniejszy, od Riukana, jest przecież nie o wiele mniej wspaniały. Spadek tu nie tak wprawdzie wielki, ale za to woda rozlewa się szerszem korytem. Co się traci więc na grozie, zyskuje się na rozciągłości widoku.

Z Hönefoss do Dramen idzie linja kolei żelaznej. Nie chcąc więc już powtórnie odbywać piechotą powrotnej do Chrystjanji drogi, powierzyłem jej moje losy i nic nie straciłem na tem: po trzygodzinnej bowiem niespełna podróży, znalazłem się znowu w stolicy Nerwegji i na trzeciem] piętrze hotelu Stockholm spisywałem skrzętnie do katalożka to, com widział i słyszał.

X.

Zakończenie. — Nieco luźnych uwag i spostrzeżeń. — Słówko o dzisiejszym stanie Norwegji. Do zobaczenia...

Dnia... oglądałem Chrystjanią po raz ostatni. Ta sama *Westa*, która mnie tu przywiozła z Kopenhagi, około godziny piątej po południu, zabrała mnie z powrotem. Zabrała nie samego, bo z głębokim żalem w duszy. Tak jest, z żalem.

Jeżeli bowiem jechałem do Norwegji, żądny wrażeń i oryginalności, to nie przypuszczałem nigdy, ażebym do tego kraju tak przylgnął, tak go prawie pokochał. Bo i cóż mogłem przewidywać, że znajdę tam het, het na północy, gdzie noga polska tak nieliczne dotąd pozowstawiła ślady? O górach, dolinach, lodnikach wiedziałem ja co prawda, nie wiedziałem przecież że jest tam tyle tego, co te góry i doliny ożywia, co ogrzewa te lodniki, tyle serca. Znalazłem serce i z żalem się z tem sercem rozstałem. Znalazłem tam coś więcej jeszcze: znalazłem głęboką naukę.

Uważny czytelnik tych luźnych wspomnień moich, wyciągnął z nich niezawodnie ten wniosek, iż Norwegja jest krajem bardzo biednym. Istotnie. Od północy na południe pokryta górami, jest ona prawdziwym Gebirgsland, jak ją Niemcy słusznie nazywają. Na tych górach i pomiędzy górami temi rozsiedli się gęsto ludzie i znaleźli się wkrótce w położeniu opuszczonych. znikąd nie widzących pomocy. Zdobycie najmniejszej rzeczy przychodziło im z wielką trudnością, walka o byt widniała przed niemi w całej grozie. Mieli oni do wyboru dwie drogi: albo jak nasi górale w Karpatach opuścić ręce z rozpaczy i żyć z dnia na dzień w nędzy i ciemnocie, albo też nie dawać za wygraną, jąć się z zapałem pracy i wywalczyć sobie znośną egzystencję. Wybrali na szczęście to drugie i dziś dają światu zdumiewający obraz tego, do czego to może dojść kraj biedny i niepłodny, jeżeli zaludniony jest ludźmi przedsiębiorczymi, pracowitymi i nieupadającymi nigdy pod brzemieniem przeciwności i nieszczęść.

Wszyscy podróżnicy po Norwegji zgadzają się na to, iż przy równie niekorzystnych warunkach, więcej doprawdy dokonać niepodobna. Istotnie. Zważmy że kraj ten przez kilka miesięcy w roku jest lodami odgradzany od reszty świata, że przez ośm blisko miesięcy panują w nim jesienne zawieje i mrozy, że nie ma on ani rzek spławnych, ani pól zdolnych do uprawy. A jednak mimo to wszystko, posiada on wysoką oświatę, wyborne społeczne urządzenia i względną zamożność, ktora chociaż nie może iść w porównaniu z zamożnością Anglji i Francji np., przecież przy oszczędności ludu, dozwala wieść byt wygodny i wcale znośny. A wszystko to dzięki dziwnemu jakiemuś hartowi ducha mieszkańców i pracy, ale to takiej pracy, o jakiej my doprawdy wyobrażenia nie mamy.

O potrzebie też tej pracy przekonany jest w Norwegji każdy, zarówno bogaty jak biedny; to też nie zdarzyło mi się tam widzieć żebraka. O nędzarzach i kalekach swoich gmina obowiązana jest pamiętać, kto tylko ma ręce zdrowe musi pracować, bo próżniactwo jest tam przedmiotem ogólnej pogardy.

— Próżniak nie wart jest żyć na świecie— powtarzał mi kilkakrotnie jeden z norwegskich profesorów uniwersytetu, kiedym mu zadziwienie moje nad takim błogim stanem jego ojczyzny wyrażał.

Powiedziałem był wyżej, iż znalazłem w Norwegji wele serca i nie cofam mego zdania. Istotnie w ciągu paru miesięcy przebytych w tym kraju, obserwację tę łatwo mi było uczynić. Wędrując tu i owdzie, ocierałem się o różnych ludzi, miałem styczność z dziećmi ludu i wyższą inteligencją kraju. I tu i tam dostrzegłem niekłamaną życzliwość, która dochodziła do najwyższej potęgi, kiedy powiedziałem że jestem Polakiem.

Jadąc razu jednego koleją wschodnią dla zapoznania się z krajobrazami południowo-wschodniej Norwegji, wypadło mi kilka godzin przepędzić w jakiemś małem miasteczku, położonem na granicy Szwecji. Nie mając co lepszego do roboty, po zwiedzeniu nieciekawej zresztą mieściny usiadłem na ławeczce przed stacją i rozłożyłem na kolanach wielką mapę Norwegji.

Kilku panów przechadzało się po peronie. Nagle jeden z nich zbliża się do mnie i najczystszym djalektem niemieckim odzywa się w ten sposób:

— Pan widzę podróżny w tym kraju, może mu czem służyć możemy?

Innym razem jechałem wagonem kolei wtulony w kącik powozu, przysłuchiwałem się nieznanym dźwiękom, nie mięszając się naturalnie do rozmowy.

Współtowarzysze podróży widocznie domyślili się, że mi to milczenie przykrość sprawia: sądząc jednak, że nie mam wprawy w zawiązywanie znajomości, pragnęli mi ją ułatwić: rozpoczęli więc pierwsi ze mną rozmowę, naturalnie po norwegsku.

Odpowiedziałem że nie rozumiem i że jestem Polakiem.

Nigdy nie zapomnę jakie to słowo Polak na tych poczciwych sprawiło wrażenie.

„*Pollack*, *Pollack*“ — zaczęto powtarzać na wszystkie strony i wpatrywać się we mnie, tak że mnie to w ambaras wprawiło.

Niestety, nie rozumieli oni po niemiecku, ja po norwegsku rozmówić się nie mogłem. Zaczęła się więc rozmowa na migi i na migi przykładając ręce do serca powiedzieli mi oni, jak bardzo Polakom sprzyjają. Po tej rozmowie zaczął się poczęstunek. Mężczyźni otworzyli swe flaszki z wódką, kobiety koszyki z chlebem i serem i wszystko to zwróciło się w moją stronę, który zdumiony jeść musiałem, bolejąc nad tem najbardziej, że im nawet za te oznaki sympatji i gościnności w ich ojczystym języku podziękować nie mogłem.

Ludzie jadący wtedy ze mną, należeli do klasy niższej, tamci którzy mi na pogranicznej stacji swą pomoc ofiarowali, byli ludźmi inteligencji; czyż weźmiecie mi więc za złe, że z zestawienia tych dwu zdarzeń, które się zresztą w innej nieco formie nieraz powtarzały, wyprowadzę ten wniosek, że ludzie tam, daleko na Północy, mają wiele serca?...

Wzmiankowałem nieraz o tem, że Norwegja jest wyłącznie górskim krajem. Charakter jej ogólny przecież (przynajmniej w tych stronach które ja poznałem, a poznałem nieco więcej, niż tu w tych luźnych notatkach spisuję), różni ją wielce od Szwajcarji. Anglicy słusznie utrzymują, iż gdy Szwajcarja odznacza się swojemi *mountain scenery*, Norwegję przeważnie charakteryzują *valley scenery*. Zdaje mi się, że Anglicy dając podobne określenie tym dwom krajom, nie bardzo się z prawdą mijają. Wprawdzie cała prawie Thelemarken to *mountain scenery*, ale za to okolice przyległe Chrystjanji, całe pojeziorze Miösenu, cała droga górska do Listad, cała wschodnia połać kraju aż do granicy szwedzkiej, to *valley scenery*. Góry tu wprawdzie wszędzie są, ale nie o góry w tem określeniu idzie, idzie o to, że góry te są pospolite i jednostajne, strzelają jednakowo ku niebu spokojnie i dziwnie monotonnie, i że widoki, prawdziwie piękne widoki masz dopiero w dolinach. Tikich istotnie dolin jak za Lillahamer, takich jak na drodze do Sundwalden, takich wreszcie jak koło Henefoss, nie zdarzyło mi się widzieć nigdy, mimo że widziałem tak cudowną dolinę, jak nasza Kościeliska w Tatrach; której równie pięknych nie wiele jest na świecie.

Naturalnie, nie znając całej Norwegji, nie mogę utrzymywać, że nigdzie w niej nie masz widoków górskich, podobnych szwajcarskim lub tatrzańskim. Przypuszczam nawet że rzeczy się mają przeciwnie, bo kraj gorzysty, mający więcej niż trzynaście stopni szerokości geograficznej, musi posiadać nieobliczoną rozmaitość krajobrazowych typów. Każda definicja, prawdy dokładnie nie określa, a angielska więc mylić się może; ale bezstronność nakazuje mi przyznać, że w południowo-zachodniej, a nawet i wschodniej Norwegji, widoki jakie doliny dają, przewyższają

pod względem piękna te, jakie okazują góry, bo gdy te ostatnie pewną jednostajnością nużą, tamte tymczasem roztaczają ci przed oczami taką rozmaitość powabów, jaką cię darzy grono pięknych naszych warszawianek, ujęte w bukiet balowego zebrania.

Pod pewnym względem, wschodnia część kraju jest więcej rozmaitą niż zachodnia. Pokrywają ją bowiem w znaczniejszej części lasy, na których zachodniej prawie zupełnie zbywa. Ta to okoliczność sprawia, iż mieszkańcy sąsiadujących powiatów ze Szwecją, żyją wyłącznie z drzewa, podczas gdy ich zachodni bracia rybom egzystencję swą zawdzięczają. Ta rozmaitość wyradza także różną w obu tych stronach zamożność mieszkańców. Pierwsi mając produkt stały i kosztowny pędzą byt stosunkowo daleko lepszy od drugich, którzy z niepewnego rybołówstwa żyć muszą.

W ogóle jednak chodząc po południowo-zachodniej Norwegji i wstępując do niejednej włościańskiej chaty, dostrzegałem wszędzie ślady względnej zamożności. Gótów bymbył nawet, nie wyciągać z tego ogólniejszych wniosków, i kłaść tę zamożność na karb przypadkowego wzbogacania się włościan na podróżnych Anglikach, którzy tu rok rocznie bardzo licznie przejeżdżają, gdyby mnie pewien wykształcony Norwegczyk, nie oświecił w tym względzie.

Zdaniem jego, zamożność ta przypadkową nie jest, napotyka się ona prawie wszędzie; lud norwegski bowiem odznacza się niepraktykowaną oszczędnością, pracowitością i trzeźwością.

Podróżując po Norwegji z zadziwieniem zauważyłem, że nie napotykałem nigdzie tam po drogach karczem, owych brudnych karczm pełnych dymu i gorzałczanego zaduchu, które są zakałą naszego kraju. Wniknąwszy bliżej w tę rzecz, doszedłem wkrótce, że karczem naszych istotnie tam nie ma i że wódka wyrugowaną jest z codziennego użytku włościan.

Przedewszystkiem powiedzieć tu muszę, że wsie norwegskie podobne do naszych nie są. Nie wyglądają one nawet na wsie takie, do jakich oko nasze przywykło. Tu i owdzie widzisz kilkanaście dworków, w prostej linji nad drogą pobudowanych i to jest właściwą wsią. Otóż w tych wsiach karczmy są najzupełniej zbyteczne, każdy bowiem włościanin zaopatruje się w to wszystko, co mu jest potrzebne, wódki on używa mało, ale za to gdy niedziela nadejdzie, zgromadza w gościnnej izbie całą swoją rodzinę, wlewa w szklanki norwegskie piwo, zasiada sobie w wygodnym fotelu i czyta na głos zebranym poważnego *Aftenposten*, lub też śmieje się ochoczo z konceptów takiego *Wikingenu*.

Zeszedłem ich raz na takiem zebraniu i westchnąwszy pomyślałem sobie:

Kiedyżto w mojej ojczyźnie, coś podobnego Opatrzność widzieć mi pozwoli?

Lud norwegski odznacza się wcale przyzwoitą powierzchownością i z pierwszego rzutu oka połnocnego Niemca przypomina. Wokolicach Chrystjanji ubiór jego nawet nie przedstawia nic oryginalnego: za to im dalej w głąb kraju się posuwamy, tem oryginalniejsze spotykamy kostiumy. Nadewszystko zwrócą one na siebie uwagę w Thelemarken.

Pamiętam, jadąc do Riukanu, przystanęliśmy przed jakimś zajazdem na drodze. Chciało nam się pić, więc wstąpiliśmy do wnętrza chaty, gdzie zebrani włościanie spędzali czas na gawędce. Mogliśmy się wtedy napatrzeć ich kostiumom. Jedna dziewczyna, ubrana, jak mnie moi towarzysze podróży zapewniali, podług najświeższej mody, zwróciła moją szczególniejszą uwagę; wyglądała bowiem jak papuga: taka pstrokatość jednak jej ubioru, widocznie podobała się wszystkim, bo otoczyli ją kołem i oczów od niej oderwać nie mogli, choć wcale piękną nie była.

Mimo zamiłowania w zbytkowym stroju, lud ten zresztą odznacza się skromnością. Spokojny i milczący, jeżeli usta do śpiewu otworzy, to po to, by Boga chwalić; nawet dziewki, choć i miłośnie czasem zanucą, przecież chętniej psalmy do Chrystusa pieją. Wzmiankowałem już o tem wyżej, tu więc tylko powtórzę, iż nastrój wysoko religijny spotykałem wszędzie w Norwegji: w czynie, na ustach, a więc chyba i w sercu.

Jakaś dziwna tęsknota i zaduma odznaczają ten lud Północy. Poważny i skupiony w sobie, choć się bawi i weseli, to jakoś od naszego inaczej. Wynik to temperamentu? nie wiem; ale ile razy przyglądałem się wieśniakom norwezkim, zawsze jak mara prześladowała mnie ta myśl, że musieli oni być kiedyś bardzo nieszczęśliwi.

Bądź jak bądź, dziś szczęśliwi są. Wszystko, czego człowiek w tem doczesnem życiu żądać tylko może, jest ich udziałem; a więc najpierw rząd republikański i konstytucyjny, szkoły wyborne i tanie, wreszcie dobrobyt oparty na bezustannej pracy. O warunkach swojego otoczenia, wiedzą też oni dobrze; to też odbijają się one na każdym, podnoszą go i uszlachetniają. Chłop norwezki wie, że jest obywatelem kraju, że jego udział w rozstrzyganiu o jego losach jest znaczny i potężny; szczyci się więc tą swoją godnością jak żaden inny i na każdym kroku usiłuje przekonać przybysza, że on jest ważną cząstką składową tego organizmu państwowego, który za podstawę swego rozwoju położył wolność, który na swoich gmachach publicznych wypisał te znaczące słowa:

Med lav skal man land bygge (państwo winno być rządzone przez prawo).

Szczęśliwy kraj, który szczyci się takim ludem: szczęśliwy lud, który żyje i rozwija się w takim kraju...

. . . .

Na tem poprzestaję. Słówko więc tylko jeszcze na zakończenie.

Kiedym przed laty, podczas moich uniwersyteckich studjów, zastanawiał się nad tak nazwanemi w nauce „utopistami państwowymi;“ kiedym myślał nad dziełem Morusa i nad jego obrazem państwa idealnego, w którem „wszyscy“ byliby zupełnie równi i zobowiązani do pracy, przychodziło mi do głowy zapytanie, czy też nigdy żadne państwo europejskie nie osiągnie tego ideału, jaki myśliciel angielski tak sympatycznie nakreślił, a który młodzieńcza moja wyobraźnia za ostatnie słowo rozwoju państwowego uważała.

Kiedym po latach kilku znalazł się w Norwegji i rozejrzał się nieco dookoła, rzecz dziwna, przypomniał mi się znowu Morus i moje pytania na uniwersyteckiej ławie. Widząc, jacy tu wszyscy szczęśliwi, przynajmniej jak szczęśliwie wyglądają; jaki tu panuje porządek, równość (tytuły w Norwegji dobrowolnie w tym wieku zostały zniesione) i praca; zdało mi się, żem został przeniesiony na tę wyspę *Utopią* (*insula utopia*), która w fantazji Morusa miała być tem najlepszem państwem. Przewidywałem naturalnie że ten organizm musi także chromać, wiedziałem, że i w nim dostrzegają się poważne braki: mimo to jednak wydał mi się on i wydaje najbardziej zbliżonym do tego ideału państwa, które na równości będąc oparte, wszystkim bez wyjątku wolność daje.

To też opuszczałem Norwegję z prawdziwym żalem, a gdy okręt uniósł mnie od niej tak daleko, iż skaliste jej brzegi znikły mi z przed oczu zupełnie, myśl moja bujała jeszcze po tych śmiejących się dolinach Miösenu i Thelemarken, gdziem jak nasz nieśmiertelny poeta przy kochance — „cząstkę duszy mej zostawił“.

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE

KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XXVII.

Niewiele co mógł robić Chodźko dla sprawy narodowej. przesiadując w Anglji. Spieszył więc do Paryża. A tam kipiały *„swary i kabały emigracyjne“*; tam L. Plater i Kniaziewicz intrygami chcieli wydalić Mochnackich i wielu innych.

Lubecki przyjechał straszyć rząd likwidacją długów cesarstwa i „na rekonesans“. Przysłany zaś on był „aby wyjednać u rządu uchylenie żołdu na rok jeszcze *ostatni* zapewnionego Polakom *). A *Pano — di Borgo* otrzymał z Petersburga instrukcję, że: „ktokolwiekby zgłosił się do ambasady po amnestję, oświadczyć mu, że jeżeli jest żołnierzem wojskowym, będzie musiał odsłużyć lat 15 w wojsku rossyjskim w głębi Rossji, a jeżeli jest cywilnym, to odsiedzi lat 15 w gubernji permskiej lub jarosławskiej. A rozstrój panujący w śród emigracji był tak wielki, że 200 przeszło zgodziło się i na ten warunek, byleby niepozostać bez żołdów we Francji.

Oto obraz tego stanu przechodowego wedle M. Mochnackiego: „Emigracja cała jest zakłócona, zaszargana, rozerwana. Nie masz 10 Polaków, którzyby byli zgodni z sobą; to wojna domowa najokropniejsza. Jenerałowie bez powagi, szulery, umykają z Paryża, aby ich za długi w St. Pelagie nie osadzono. Pełno duchów i pieniędzy moskiewskich po zakładach. Gazeciarze pod pozorem rewolucji i patrjotyzmu rozszerzają niezgody za moskiewskie pieniądze... Zawrót głowy opanował większość. Znak ogólny dekompozycji, która w biedzie okropnej, jeneralnej, koniecznie nastąpić musi.

Śród tego chaosu, jaki zresztą musi z konieczności panować, po każdem nieudaniu się ważnej sprawy, wlókł swój żywot komitet *„Dwernickiego* szulera, marnotrawcy, z którym stosunki „szkodziły i psuły reputację“. W innem miejscu tenże Mochnacki **) mówi: „jest jedna partja co się chce nazywać demokratami, druga jest partja Dwernickiego, który się prowadzi Bóg wie po jakiemu; trzecia jest partja dyplomatyczna, do

*) Mochnacki listy tom I. str. 256.
**) tamże str. 258.

czwartej należą ci wszyscy, którzy nie chcą o niczem wiedzieć i tylko w pokoju chcieliby się doczekać jakiejś pomyślnej pory".

Śród takiego rozkładu zupełnego trzeba było działać, a osoby jeszcze nie wyszły na jaw z młodszego pokolenia. To też zaledwie Chodźko, znany już ogółowi, przybył do Francji, natychmiast wychodźcy z (Agen) Ażan zapytywali: „czyliby jego położenie było skompromitowane, gdyby go powołano do komitetu, mającego się utworzyć?", wzywali „by spiesznie na to odpowiedział i żeby wcześnie przed mającemi wkrótce nastąpić wyborami, wyborcy mogli być pozawiadamiani".

To też Chodźko pisał z 7 sierpnia 1834 do *Urbańskiego Piotra*: „Po tysiąc kroć mile sercu mojemu dowody drogiej o mnie, twojej i twoich kolegów pamięci, przenikają mnie uczuciem szczerej i braterskiej wdzięczności. Nieoceniony ów dowód zaufania waszego w mój sposób myślenia i postępowania, na drodze narodowej obywatelskiej, jest zachętnem waszem potakiwaniem przeszłości i dzielnym bodźcem w następnych kolejach naszego wspólnego przeznaczenia. *Największe dobro jakie spaść może na obywatela republikanina,.. jest owo dobro, gdy cnotliwi ziomkowie*, powołując do działania *nie wymagają*, za każdem nowem wezwaniem do zrobienia nowego wyznania wiary".

Jednakże położenie Chodźki nie było dostatecznie stałe we Francji w obec ogólnego rozprzężenia, intryg arystokracji i nareszcie ogólnych zabiegów Moskwy. Wyznaje więc on „wszelkiego rodzaju trudności i przeszkody zwyczajne nigdy mnie nie zraziły, lecz zostaję jeszcze pod potęgą trudności i przeszkód nadzwyczajnych. Materjalna przemoc jest tak wielką, że w pierwszej chwili mego ukazania się na drodze, na jąką mnie powołacie, działanie moje byłoby zniweczone i na nowo bym był oderwany i od was i od ziemi do której wróciłem".

Zresztą, jak sam wyznaje, straciwszy cały zapas uzbierany za literackie prace we Francji przez 18 miesięczny pobyt na wygnaniu i po 2 miesięcznem niezdrowiu, *nie chciał* on wchodzić w polityczny zamęt tem bardziej, że dano mu pozwolenie powrotu, które „jest mniej niż pół pozwoleniem, bo nietylko że nie mogę urzędownie przesiadywać w stolicy, ale nawet gdy do niej przybywam, w celu prac moich literackich, nie mogę używać własnego nazwiska". Spodziewając się zmiany tego położenia, radzi Chodźko „na ów czas zachować dla niego ich wota".

Był jeszcze inny powód do tej odmowy, a mianowicie całe stronnictwo Dwernickiego. Podówczas silnie jeszcze się ono trzymało, a opinja emigracyjna jednolitą nie była. W zapatrywaniu się na osoby i zasady tak mało się ustaliła, że jednorodności komitetu daremnem byłoby się spodziewać. Zawczasu więc Chodźko pisze: Nauczeni krwawem i ciągłem doświadczeniem, daj Boże, żeby nowe wybory padły na ludzi jedną wiarę narodowo-republikancką, jeden pomysł i jedne dążenia mających. Wszelkie koalicje, wszelkie pojednania żywiołów różnorodnych jest tylko w teorji, ale w praktyce, niejednokrotnie pokazały, że są niepodobne. Nie ma tam ładu, nie ma zbawienia rewolucyjnej sprawy, gdzie jeden do lasa, a drugi do Sasa dążą... Nie ma harmonji, nie ma sposobu działania w gronie, w którem by ludzie nie dali dowodów cnót moralnych, publicznych i prywatnych i dobrej konduity. *Nie może być szanowaną i szanującą żadna władza, gdy nie jest otoczoną tem niezbędnem przekonaniem, iż członkowie jej są wstrzemięźliwi, że nie są graczami, że nie wydają lub nie podpisują odezw niedołężnej lub nie republikańskiej redakcji*".

Nic nie pomogło przedstawienie owego kłopotliwego położenia. Nastąpiły wybory do komitetu i głosy padały na Chodźkę. Tysiąc kilkadziesiąt głosów dano mu. I Zakład rodaków w Ażan (*Agen*) znowu go wzywał do rozpoczęcia urzędowania i do zgłoszenia się w tym celu do Dwernickiego". Lecz Chodźko i tym razem postanowił usunąć się od życia politycznego. „Jeżeli mi się udało wrócić do Paryża, *) pisze, życzyłem powrotu dla tego, abym jeszcze był użyteczny sprawie ojczyzny naszej, na drodze historyczno-literackiej, na drodze, na której wydobywając i popularyzując nieśmiertelne czyny upłynionych dziesięciu wieków sławy i istnienia rzeczypospolitej polskiej, mógł o ile możności, zwrócić uwagę Europy, żeśmy godni być narodem i że zmartwychwstaniemy! Na tej drodze pozostaje mi przynajmniej wolność działania i pracowania, lecz na innej, wątpię bardzo, aby mi się udało być o tyle użytecznym, o ilebym tego sobie życzył. Raz przemoc i gwałt dopuszczony na mojej osobie i na moich kolegach... mógłby się surowiej powtórzyć, bez pożytku dla sprawy, a narazić może, z taką pracą wybrany nowy komitet, na prześladowania i na naruszenie egzystencji poważnego ciała, reprezentującego emigrację i Polskę".

W tem urzędowem zrzeczeniu się, wypowiadając, że zaufanie okazane wyborem po raz trzeci przez emigracją „napełnia moje serce najczulszą wdzięcznością i przekonywa, iż nigdym niezrobił tak na drodze politycznego wyznania wiary polskiej republikańskiej... coby miało osłabić wiarę" w niego i zapewniając że „z mandatem czy bez mandatu, jak zawsze tak i na przyszłość życie poświęca interesowi Matki-ojczyzny i na pierwszej linji zawsze się znajdzie z tymi, *co szczerze z rozsądkiem polskim, wywołują wszechwładztwo ludu polskiego, jego usamowolnienie bezwarunkowe i wolność, równość, całość i niepodległość wszystkich ziem Rzeczypospolitej polskiej*, Chodźko wygłasza „wdzięczność, cześć i uszanowanie tysiącu kilkadziesiąt głosom", co na niego wotowały! Nie przyjmuje zaś obowiązku „bo jaka pewność, jaka gwarancja przed wpływem cara? Wszakżeśmy byli wyparci z Paryża, wskutek decyzji Rady ministrów, prezydowanej przez samego króla?"

Dwernickiemu nie pozostawało nic innego, jak zawiadomić o tem ogół wychodźtwa.**) Jednak sprawa tak prosto się nie rozstrzygnęła.

Do komitetu zostali wybrani Dwernicki, Leduchowski, JB. Ostrowski, L. Chodźko, Karol Rużycki, Bohdan Zaleski i W. Żwierkowski. Z ich liczby czterech ostatnich nie chciało wejść w jego skład i podali swe dymisje, żądając by przy zdaniu sprawy, objaśnienia zostały drukowane, choćby ich kosztem. Tego to nie chciał komitet, a raczej pozostali jego członkowie.

Dwernickiego opisywał Chodźko w jednym ze swych listów***): „Wyborny rębacz, kochający swą ojczyznę, koń i szabla są jego żywiołem, na polu bitwy pobije najezdnika Polski, z żołnierzem się uraczy, podzieli i w karty przegra wszystko co ma i czego nie ma; wszystko to są cnoty wojaków polskich, takimi oni byli za Bolesława Wielkiego, takimi będą zawsze; waleczność, odwaga w ogniu i poświecenie się bez granic ich odznacza. Są to nieocenione cnoty... lecz aby mieć noty cywilne, obywatelskie, ład, wstrzemięźliwość, rozum i zamiłowanie pracy, trzeba innych żywiołów. Wojak i rębacz do komitetu i do prezydencji się nie zda. Komitet, jest to władza cywilna, dyplomatyczna i prawodawcza, a czyż podobna aby jenerał co lubi smaczno i zawiesisto zjeść, tęgo wypić, wiekuiście grać w karty, obciążać się długami; wojak co ciągle się pyta i wygląda kiedy wsiądzie na koń i pobieży czwałem do ukochanej Polski, z Paryża aż do Warszawy, może pojąć albo pogodzić sprawy, kłótnie i zawiści tułaczów, którzy się stali cywilnymi, którzy nie o bataljonach i szwadronach mówią, ale rezonują historycznie i filozoficznie nad przyczynami upadku rewolucji, nad reformą rządu narodowego, nad opinjami arystokratycznemi, demokratycznemi i półśrodkowemi!"

Nie dziw więc, że gdy przyszło się razem zasiadać w tym samym komitecie, przeciwnicy osobiści Dwernickiego musieli się usunąć nie mogąc pozbyć się prezesa. Czuł to dobrze i sam Dwernicki i dla tego w sprawozdaniu o wyborach z 16. września nie zamieścił tłumaczeń się z dymisji występujących członków, lecz podając o wszechwładztwie ludu, o nieszczęściach ojczyzny, o potrzebie jej wskrzeszenia i o ustanowieniu rządu emigracyjnego, powiedział kilka słów tylko o wystąpieniu 4 członków z komitetu, A między innemi wyraża się: Leonard Chodźko pragnie, aby prześladowania, jakim uległ, będąc członkiem komitetu pod prezydencją Lelewela, przyjęte były za powód teraźniejszego odmówienia, oświadczając chęć służenia emigracji i narodowi w innym zawodzie i że na później od wszelkich posług nie wymówi się". W Paryżu, gdzie panowała wielka martwota w życiu wychodźczem, jakeśmy to widzieli ze świadectw współczesnych, ustęp ten przeszedł bez uwagi. Lecz całkiem co innego było po zakładach.

Tam żywioł polski skupiał się więcej sam w sobie, mniej był wystawiony na wpływy zewnętrzne cudzoziemcze. Dlatego to po zakładach uderzała jakaś czerstwość życia politycznego. Tam w rozpamiętywaniu przy mniejszej pracy fizycznej zaczął się wyrabiać pogląd na społeczne stosunki i to ciepło, co tak mocno uderzyło Maurycego Mochnackiego swym kontrastem po przyjeździe do (*Auxerre*) Ogzer. Między zakładami zaś najczynniejszy był w *Poitiers*, który w parę lat później przemienił się na sekcję centralną towarzystwa demokratycznego. Zakład ten należąc do zjednoczenia, był przesiąkły zasadą republikańsko-demokratyczną. Jasna więc rzecz, że słowa wkładane w usta Chodźki, musiały go zadrasnąć do żywego. Dla czego Chodźko nie usunął się z kandydatury, gdy nie chciał być wybranym? Czyż wypędzenie z Francji miało stawać za laury i pozwalać na dalszą nieczynność. Podobne pytania nasunęły się ogółowi, to też jego majestat i duma szlachetna rażone zmusiły do napisania wielkiej protestacji przeciwko usuwającym się członkom, a protestację tę zamieszczono w *Nowej Polsce* i *Tygodniku emigracji polskiej*. Tam tułacze za podobne kroki niezgodne z pojęciem pracy narodowej zapowiadają: „stracenie ufności w emigracji współziomków, przyćmienie przeszłości i zostawienie plamy na przyszłość".

Pozostawić to wystąpienie i pominąć milczeniem było niepodobieństwem. Natychmiast więc do *Nowej Polski* i do *Tygodnika* (10. października 1835) posłał Chodźko sprostowanie:

„Nie dziwię się bynajmniej innym wyrażeniom

---

*) Odezwa z 16 Siepnia 1835.

*) List do Jł. Dwernickiego. Paryż 25. sierpnia 1335.

**) List Jł. Dwern. do Chodźki. Paryż 20. Sierpnia 1835.

***) Odpowiedź na pismo Ogółu w Poitiers 25. listodada 1835. Paryż 10. listopada 1835.

przysurowym z tego powodu, w temże piśmie umieszczonym, bo tyle się rzeczy porobiło w emigracji inaczej jakby być powinno, iż surowość i obawa moralna i polityczna tułaczów ciągle się musi mieć na ostrożności". Dalej powiadając o swem zrzeczeniu się i liście do Dwernickiego, powiada: „Prosiłem go, aby na mój koszt, wydrukował mój list, gdy będzie zdawał sprawę przed wyborcami, przyrzekł mi ustnie i na piśmie, iż *oświadczenie takowe poda do wiadomości wyborców*. Lecz inaczej się stało. Jł. Dwernicki w węzłowatych słowach wspomniał o mojem wymówieniu się; listu mego na mój koszt nie raczył wydrukować i dzisiaj skutek następuje tem mniej dla mnie przyjemny, gdyż nie widzę się być winnym" i przytacza cały ten list znany już czytelnikom, a później dodaje: „Dzisiaj zaś, dlaczego komitet nie może się zawiązać? rozwiązanie tego pytania nie do mnie należy... inni zapewno złożą objaśnienia, równie jak ja z mojej strony ogłaszam... Wreszcie jeżeli na teraz nie przyjmuję członkowstwa w komitecie, to dla tego, że oprócz powyżej wymienionej przyczyny politycznej, ciągła i perjodyczna praca w redagowaniu *Polski malowniczej* nie dozwoliłaby mi się rozrywać na wielorakie zatrudnienia. Dzieło owe co dzień się rozmnażające i liczące już przeszło cztery tysiące prenumeratorów, wymaga starania i akuratności".

We dwa dni potem (12. października 1835) pisze Chodźko w podobnymże duchu i do zakładu *Poitierskiego*, a wymawia, że wystąpiono od razu publicznie nie zażądawszy objaśnienia od niego. „Bardzoście jednak dobrze zrobili przesyłając surowe i ostrzegające wyrazy waszej sprawiedliwej obawy o postępowanie polityczne rodaków, których używacie do usług publicznych, ostrzegając błądzących niewinnie, a ścigając i odkrywając przewinienia winne i wkorzenione, można jedynie zapobiedz złemu". Listem tym wzywa on również do poznania listu przed 14 miesiącami do Ażan (*Agen*) i „jeżelibyście uważali, obywatele, za potrzebne lub przyzwoite, odwołać, przez drogę publiczną wasze pismo z 3. października, o ile się mię tyczy, byłbym wam obowiązany".

Zastanowiwszy się nad temi wymogami ogół poatierski napisał sprostowanie słów ostrych o Chodźce i przesłał do wymienionych dzienników. A przewodniczący z kolei K. Łojewski i pisarz Wawrzyniec *Wołłowicz*, w imieniu tegoż ogółu przesyłając kopję sprostowania, pisali do Chodźki:*) „Po różnostronnem rozważaniu pisma Twego... uznaliśmy za przyzwoite i potrzebne odpowiedzieć na one... Chcielibyśmy byś w naszem postępowaniu widział nieskorość czynienia przysurowych wyrzutów lub niestosownych zagrożeń, ale szczerą chęć odpowiedzenia naszemu powołaniu, służenia czynnego sprawie emigracji i ojczyzny... Dziś w stanie jesteśmy ocenić niedokładność oddania twej myśli przez K. Dwernickiego"... W sprostowaniu zaś samem powiadają członkowie tego zakładu: „Ogół poatierski jak pojął słowa ob. j. Dwernickiego, taki też sąd wydał, a sąd jego był wymiarem sprawiedliwości za myśl, wyżej przytoczonemi słowy odbitą... Zagrożenie... *przyćmienia przeszłości i zostawienia plamy na przyszłość* zostałoby przy ob. Chodźce, gdyby on, dbały o swoją nieskazitelność, nie był pospieszył z potrzebnemi prostującemi objaśnieniami. Zagrożenie to byłoby zostało w całej mocy przy ob. Chodźce, tak jak dotąd niewzruszonemi zostają nasze wymówki uczynione trzem innym wymawiającym się od zasiadania w komitecie Zwierkowskiemu, Różyckiemu, Zaleskiemu." Co zaś do obierania Chodźki pomimo jego zapowiedzenie nie przyjmowania *na teraz urzędu*, jak wyrażono w liście do Urbańskiego, to ogół poatierski odpowiada: „Ob. Chodźko podpisując ustawę, wiedział że się mieści w liczby kandydatów, a bacząc na gnuśną nieczynność wychodźców w Paryżu zamieszkałych, na skromną liczbę podpisujących ustawę, *czując sumiennie nieskazitelność swych około sprawy publicznej czynności, wiedział, a przynajmniej wiedzieć był powinien*, że mieszcząc się w liczby kandydatów, *może być powołanym* do zasiadania w kmitecie, czego kiedy sobie nie życzył, nie widząc swej odpowiedzi objawionej publicznie przed emigracją przez zakład Azar, powinien był lub o ogłoszenie owej się upomnieć, lub o tym emigrację zawiadomić. Krok ten... byłby go uchronił od słuchania naszych wymówek, a nas nieprzyjemności czynienia mu owych... Nadto wymówki nasze i niniejsze pismo powinny przekonać ob. Chodźkę, ile dbamy o jego dobre imię i o interes emigracji, *tak dalece dziś przez nią samą zaniedbany*". Podpisali z woli i upoważnienia ogółu Łojewski i Wołłowicz.

Pisma te zadowolniły Chodźkę. Ale za to wywołały niepokój w szeregach stronników Dwernickiego. Jędrzej *Słowaczyński*, redaktor *Tygodnika*, otrzymawszy *sprostowanie i odwołanie*, upraszał Chodźkę o umorzenie tej całej sprawy i zaklinał w imieniu Dwernickiego do nierozmazywania sprawy*) bo „jenerał sam czuje teraz, że niestosownie postąpił i że źle zredagował swoje zdanie sprawy z 16 września. Słowaczyński trzyma się klamki jeneralskiej, pisze Chodźko. Litość mię wzięła nad oboma; jak z początku tak dzisiaj tem bardziej, mogę być wyższym nad te drobnostki, które mię nie mogą dosięgnąć. Zgodziłem się na to iż pismo wasze nie ujrzy światła w Tygodniku. Czas pokaże, że niedołęstwo lub zazdrość Dwernickiego, gdy kreślił swe zdanie sprawy nie wyjdzie mu na dobre".

Rzeczywiście był to już czas rozkładu komitetu. Chociaż Chodźko proponował na miejsce wychodzących czterech członków zamianować: *Hłuszniewicza*, *Gawrońskiego*, *Trzcińskiego* i *Nabielaka* którzy otrzymali wiele głosów. Ale w samym wybranym komitecie zaszło nieporozumienie. Wybrani Dwernicki i Ledóchowski nie chcieli zasiadać razem z zajadłym i przerzucającym się J. B. Ostrowskim, który swe wyniesienie winien był walce z czartoryszczyzną i arystokracją, i z którym trzymano się dopokąd on popierał ich kandydaturę w *Nowej Polsce*. Teraz był już im niepotrzebny i nie wygodny. Widocznie więc komitet rozpadał się, będąc nawet wznoszony na nowych podstawach i nowej organizacji.

Wypadek ten opisałem trochę obszerniej raz dlatego, że całe te zachody dowodzą, iż zakład poatierski w końcu 1835 roku należał jeszcze do ogółu wychodźtwa, a zatem centralizacja tow. demokratycznego wówczas jeszcze nie była przeniesioną do *Poitiers*, jak podaje szanowny autor bardzo ważnego dzieła „*Emigracja polska od 1831 do 1863 krótki rys historyczny* Lipsk. 1865. Dopiero upadek komitetu wskazał należyty kierunek żywiołom demokratycznym i dał potęgę do założenia komisji korespondencyjnej — a później centralizacji. Powtóre, że od tego czasu Chodźko coraz bardziej się oddaje swym pracom literackim, które pochłaniają go i odwlekają od życia ruchliwego, politycznego, w jakiem zaczął był brać tak czynny udział zaraz po powstaniu listopadowem.

Na tej więc epoce muszę zakończyć opisy życia emigracyjnego, chociaż dopiero początek 1836 roku jest chwilą prawdziwego przebudzenia się z uśpienia naszego wychodźtwa i chwilą jasnego zgrupowania się ludzi pod różnemi wybitnemi chorągwiami. Z towarzystw emigracyjnych politycznych rozwijają się wprawdzie zjednoczenie, orzeł biały, trzeci maj i towarzystwo monarchiczne, ale one wszystkie bledną w obec przeważającego liczebną siłą i wybitniejszemi jednostkami towarzystwa demokratycznego, które ostatecznie pochłania i wciela nawet zjednoczenie. Pomijam ten okres, zbyt ważny, by go pokrótce przelecieć, a mały związek mający z życiorysem obecnym. Pomijamy też i wpływ dzieł podobnych do *La Pologne pitoresque* i innych, o których już wzmiankowałem przy wyliczeniu prac naukowych i literackich Chodźki. A teraz przechodzę znowu do epok gdy jego czynność jakby się spotęgowywała — do epok, zarysowanych w pamięci narodu upadkiem rozpoczynanych powstań.

(C. d. n.)

*) *Poitiers* 5 listopada 1835.

*) List Chodźki do ogółu poatierskingo z 10 listopada 1835.

Z WYCIECZKI JUBILEUSZOWEJ.

V.

Nas, którzy bliżej znamy stosunki galicyjskie, szczególniej interesowało stannowisko, jakie tak zwane stronnictwo Stańczyków zajmie wobec Jubileuszu.

Jakaś moda wstecznictwa jak powietrze zawiała od pewnego czasu nad Europą. Objawiła się jako reakcja przeciw ideom zrodzonym w wielkiej rewolucji, była koniecznością historyczną — lecz nigdy przypuścić nie można było, iż u nas zagnieździć się na dobre potrafi. Staliśmy zwykle na uboczu od walk duchowych, które się na Zachodzie odbywały. Zajmowały nas sprawy domowe, bronienie domowego ogniska od napadu obcych żywiołów, strzeżenie narodowości przed zagładą. Na inne sprawy mało było czasu — większość inteligentna niosła krajowi krew i mienie w ofierze. Tymczasem po upadku w r. 1863, kiedy duch osłabł chwilowo, pojawiły się rozkładowe elementy, tak jak bakterje, owe drobne mikroskopijne istotki sprowadzające gnicie w ciałach chorych, sprowadzające tyfusy, febry i inne zaraźliwe choroby. To co wstecznictwo miało najgorszego przeszczepiło się na nasz grunt. Arystokratyzm rodu do absurdu posunięty, ultramontanizm podporządkowujący sprawy narodu sprawom klerykalnym, hołdowanie reakcji i wstecznictwu dochodzące do apoteozowania jezuitów i oddawania im dzieci na wychowanie. Najkomiczniejsze sprawy znajdowały u nas poplecników. Przypomnijmy tylko owe wycieczki ku Karlistom i Chambordowskie jeremiady.

Nie zaprzeczymy jednak, że na wytłumaczenie tych, którzy się temu prądowi porwać dali, dają się przytoczyć okoliczności, które najsilniejszego człowieka złamać potrafią. Opuszczeni, z nikąd pomocy, z nikąd ratunku, bez przyjaciół szczerych w cudzym obozie szukać zaczęto nowych dróg na przyszłość. Tonący brzytwy się chwyta. Ci, którym zwątpienie zagnieździło się w duszy, chwycili się czarnego spisku, który chciał przytłumić to, co ludzie zdobyli w rewolucji: swobodę słowa i wolność sumienia. Poja-

wiały się teorje Walewskich i jemu podobnych. Doszło do tego, że odezwać się u nas przeciw ich zasadom, wygłaszać nawet rezultat ostatnich zdobyczy naukowych, było grzechem, który mógł karę za sobą pociągnąć.

Na szczęście zastępy ich nie były zbyt liczne, lecz na nieszczęście w ich szeregach stanęły historyczne nasze imiona, ludzie rozporządzający majątkami, zajmujący wysokie stanowiska, wywierający wpływ przez księży na rodzinne stosunki, a przyznać trzeba i wielce nieraz utalentowani.

W naszej prowincji ich działanie najbardziej odczuć się dawało, a siedliskiem stał się Kraków, jak wszystkim wiadomo. Królestwo, Litwa i inne ziemie z pod zaboru rossyjskiego zaledwie coś o nich wiedziały. Miano tam uwagę czem innem zajętą.

Naraz wszystko co Polska ma najlepszego, zjechało się w Krakowie dla uczczenia Kraszewskiego, tego Kraszewskiego, który nigdy nie stawał po stronie pracujących za wsteczną sprawę, który nieraz boleśnie i skutecznie ich dotykał. Pozycja stała się drażliwą i nie wiedziano jak sobie począć. To też zatrzymali się wyczekująco, aż do wielkiej uroczystości, a przedewszystkiem obojętnie. Chciano całą sprawę pokierować inaczej, niż gorętsi sobie tego życzyli. Chciano otwarcie Sukiennic wysunąć na plan pierwszy. Duchowieństwo krakowskie stanęło na uboczu i zachowało tę postawę aż do końca. Biskup święcąc Sukiennice słówkiem nie wspomniał o Kraszewskim i mówił zebranym tłumnie dla złożenia hołdu jubilatowi, że się tu zjechali tak licznie, żeby być świadkiem otworzenia gmachu do którego dawne tradycje są przywiązane. Lecz gdy się ścisnęły dłonie z wszystkich krańców Polski, gdy serca rozżarzyły się w patrjotycznem uniesieniu, gdy była obawa iż naród się przekona, że bez nich doskonale obejść się potrafi, gdy w najbardziej im przyjaznych dawniej osobach z zakordonu zaczęły się przejawiać znaki niechęci i niezadowolenia, gdy posypały się śladem Siemiradzkiego dary, gdy zobaczono jak jeszcze jarząco świeci znicz naszego narodu i nie zdołano go jeszcze zagasić — oczy się otworzyły i dalejże ubiegać się o lepsze w zapale patrjotycznym. Niesiono pochodnie, wykrzykiwano wiwaty, śpiewano narodowe piosenki i zdawało się, jakby te wszystkie niechęci co były, na zawsze wygasły...

Oby też to się na długo utrzymało!

Myśmy mieli ztąd tę pociechę, żeśmy zobaczyli iż ci, co naród prowadzą, nie upadli duchem i nie zapomnieli o tem, że oprócz świętych najpierwszych obowiązków wobec ziemi rodzinnej, są jeszcze obowiązki, które postęp ludzkości na nich nakłada. Niechże nas rozum chroni od stawiania kiedykolwiek oporem na drodze temu postępowi, bobyśmy zostali zgnieceni jak ten, któryby chciał głową swoją lokomotywę w pędzie zatrzymać.

VI.

Z ważnych i pełnych do..osłości rezultatów, które na Jubileuszu otrzymano, jednym z najpiękniejszych i najpożyteczniejszych, jest założenie Muzeum narodowego sztuki. Ofiarność Siemiradzkiego dała mu początek a inni nasi artyści poszli w jego szlachetne ślady. Powoli, w grodzie naszych pamiątek powstanie zbiór dzieł sztuki, który będzie mówił wszystkim zwiedzającym o tem, żeśmy i w tej dziedzinie w tyle po za innymi nie pozostali.

Myśl założenia tego muzeum zrodziła się natychmiast, bo się zrodzić musiała, po ofiarowaniu Pochodni Nerona. Zebrani w kółku artyści przy poufnej pogawędce jeden po drugim przyłożyli swoją cegiełkę do założenia fundamentów. Każdy z uczestników co miał najlepszego ofiarował na użytek kraju. Miasto dało górne sale Sukiennic, które miejmy nadzieję, za lat jaki dziesiątek o tyle zapełnione zostaną, że je mianem muzeum rzeczywiście nazwać będzie można.

Sale przeznaczone na muzeum są rzeczywiście wspaniałe i lepszego oświetlenia nawet wymagać nie można, a przytem są wysokie, duże i zupełnie godnie swemu przeznaczeniu odpowiedzieć będą mogły.

Lecz pamiętać należy, że dalszy dobry rozwój muzeum zależeć będzie od ofiarności. Przypominamy, że w kraju po dworach i w miastach u amatorów rozrzucone są pamiątki dawnej sztuki w naszym kraju. Nieraz znaleść je można martwiejące bezcelowo. Niechże więc ich właściciele zachęceni świetnym przykładem Siemiradzkiego, złożą swoje drobne ofiary, pamiętając o tem, że dar ten czynią dla kraju, i że bez ich pomocy nigdy nie będzie można złożyć zbioru, który byłby zbiorem całości tego co u nas dla sztuki zrobiono.

RAUDA.

Posłuchaj Litwo raudy pogrzebowej;
Ofiary chwila blizka — stos już gotów,
Na nim sztandary i płótna namiotów,
Rogi rozgłośne wśród wrzawy bojowej,
Milczące liry starych wajdelotów
I rdzawe miecze i puhar godowy.

Ostatnia kropla allusu wypita...
Już nad ogniskiem wichrami rozwianem
Dym w niebo iskry z popieliska chwyta,
Niesie w ofiarę bogom zagniewanym,
O przyszłe losy matki-Litwy pyta.

Nad Swiętoroga zbiegły się doliną
Duchy praojców w świetle łuny krwawej
I posmutniałe na Anafiel płyną —
Albowiem wieńce bohaterskiej sławy
Czoła ich wnuków więcej nie owiną..

Smutno nam, bracia, na tej wielkiej stypie,
Przed owym stosem pamiętnym, ofiarnym.
Zda się, że z chwilą gdy się w proch rozsypie
My pozostaniem jak ludem cmętarnym,
Co dziejów własnych dzień ostatni przeżył.

Lecz w płomień z mieczem, który postrach szerzył!
W płomień z chorągwią, co do zwycięztw wiodła!
W płomień te czasów przeminionych godła!
Bo grom zawistnych bogów w nie uderzył.

Ojców spuściznę na ołtarzu spalcie,
Jako relikwie w spadku po nich wzięte
I dłoń niegodną od prochów oddalcie
I w urny zbierzcie te pamiątki święte.
A potem w górę wznieście sztandar nowy
Pracy wytrwałej, cichej, a szlachetnej —
Sztandar to bardziej niźli inne świetny.
Wam opromieni nowym blaskiem głowy,
A hasło takie; liść to świeży, setny
W wieńcu i cnoty i sławy rodowej.

Czesław.

TEN MAŁY

POWIEŚĆ

ALFONSA DAUDETA

przekład

Wincenty Limanowskiej.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

(Ciąg dalszy.)

XI.

Mój dobry przyjaciel fechmistrz.

Dnia tego, 18 lutego, ponieważ dużo śniegu wypadło w nocy, dzieci nie mogły bawić się na podwórzu. Po skończonych lekcjach porannych, wszystkich uczniów wprowadzono na salę, gdzie mieli razem przepędzić rekreacje, zanim nadejdzie godzina nauki.

Ja miałem nadzór nad nimi.

Salą nazywała się dawniejsza gimnastyczna sala kolegium marynarki. Wyobraźcie sobie cztery wielkie gołe ściany, z małemi zakratowanemi okienkami, tu i owdzie sterczały w niej haki na wpół wyrwane, widoczny był także ślad drabin, a u środkowej belki sufitu wisiał na sznurze olbrzymi pierścień żelazny.

Dzieci zdawały się bardzo dobrze tam bawić. Hałaśliwie biegały do koła sali, podnosząc tumany kurzu. Jedni usiłowali pochwycić pierścień; drudzy, wieszając się rękami, krzyczeli; pięciu lub sześciu chłopców spokojniejszego charakteru jadło swój chleb przy oknach, patrząc na śnieg, zaścielający ulice, i na ludzi z łopatami, którzy zbierali go na wozy.

Co do mnie, nie słyszałem wcale całego hałasu tego.

Ukrywszy się w kącie, ze łzami w oczach czytałem list, i dzieci mogłyby były zrujnować salę do szczętu, a nie spostrzegłbym, tego nawet. Otrzymałem był właśnie list od Jakóba; list z Paryża, mój Boże! tak, z Paryża, i oto co w nim wyczytałem:

„Kochany Danielu!

„List mój zadziwi cię mocno. Nie domyślałeś się, nieprawdaż? że jestem w Paryżu od dwóch tygodni już. Nic nikomu nie mówiąc, opuściłem Lugdun. Cóż robić?... Tak mi coś przyszło do głowy. Zanadto nudziłem się w tem okropnem mieście, szczególnie od chwili twego wyjazdu.

„Przybyłem tutaj z trzydziestu frankami i pięciu lub sześciu listami proboszcza z Saint-Nizier. Na szczęście, opatrzność zaopiekowała się mną zaraz i dała mi miejsce sekretarza u pewnego starego markiza. Przyprowadzamy do porządku pamiętniki jego; piszę tylko to, co on mi podyktuje, i mam sto franków miesięcznie... Nie jest to bardzo świetne, jak widzisz, ale dobrze obrachowawszy się, to będę mógł i z tego zaoszczędzić się jeszcze i od czasu do czasu przesłać coś do domu.

„Ah! mój kochany Danielu, co za ładne miasto ten Paryż! Tutaj przynajmniej nie zawsze jest mgła; pada deszcz czasem, ale deszcz to drobny, wesoły zmięszany ze słońcem; takiego nie widziałem nigdzie. To też zmieniłem się zupełnie. Wiesz co, że wcale już nie płaczę. To nie do uwierzenia."

Czytałem właśnie te słowa, kiedy nagle rozległ się pod oknami głuchy huk powozu toczącego się po śniegu. Powóz zatrzymał się przed kolegium i usłyszałem dzieci, krzyczące na całe gardło: Podprefekt! podprefekt!

Wizyta pana podprefekta zapowiadała w istocie coś nadzwyczajnego. Dwa lub trzy razy do roku zaledwie nawidzał on kolegium Sarlande, i za każdym razem miało to znaczenie wypadku. Ale w tej chwili więcej niż sam podprefekt Sarlandy, więcej niż całe Sarlande, więcej niż wszystko na świecie obchodził mię list mego brata Jakóba. To też, podczas kiedy uczniowie rozbawieni przewracali się, popychając, kto pierwiej zobaczy wysiadającego z powozu podprefekta, ja wróciłem do mego kącika i czytałem dalej:

„Wiedz o tem, mój dobry Danielu, że ojciec nasz jest w Bretanji, gdzie w interesie pewnego towarzystwa prowadzi handel cydrem. Dowiedziawszy się, że zostałem sekretarzem markiza, chciał żebym mu odprzedał kilka beczek cydru. Na nieszczęście, markiz pije tylko wino i to same wino hiszpańskie! Napisałem o tem do ojca; zgadnij co mi odpowiedział na to? Odpowiedział mi: — Jakóbie, jesteś osioł! — jak zawsze. Ale to nic, mój drogi Danielu, zdaje mi się, że w gruncie kocha mię bardzo.

„Co do mamy; wiesz, że teraz jest sama. Powinienbyś napisać do niej; skarzy się na twoje milczenie.

„Zapomniałem powiedzieć ci o jednej rzeczy, która z pewnością zrobi ci największą przyjemność: Mam pokój w cyrkule łacińskim... w cyrkule łacińskim! pomyśl sobie... prawdziwy pokój poety, jak w romansach, z małem okienkiem i z widokiem na rozległe morze dachów. Łóżko nie jest wielkie, ale w razie potrzeby pomieścimy się w nie obaj, a w jednym kąciku stoi mały stolik, przy którym doskonale byłoby pisać wiersze.

„Jestem pewny, że gdybyś widział to wszystko, co najprędzej przyjechałbyś do mnie; ja także chciałbym cię mieć koło siebie, i kto wie, czy nie przywołam cię wkrótce.

„Tymczasem kochaj mię zawsze i nie zamęczaj się pracą w tem swojem kolegium, żebyś nie zachorował.

Całuję cię. Twój brat.
„Jakób.“

Poczciwy Jakób! Jakże rozkoszny ból sprawił mi listem swoim! Śmiałem się i płakałem jednocześnie. Całe moje życie przez te ostatnie miesiące, poncz, bilard, kawiarnia Barbette, wszystko to wydawało mi się teraz brzydkim snem, i myślałem sobie: „Dosyć tego. Teraz będę pracował, będę mężny jak Jakób“.

W tej chwili dzwonek odezwał się. Uczniowie stanęli w szeregach; wciąż rozmawiali jeszcze o podprefekcie i pokazywali sobie pojazd jego, stojący przed bramą. Przyprowadziwszy ich do klasy, pozostawiłem z profesorami, a sam pobiegłem na schody. Spieszno mi było znaleść się wreszcie w pokoju moim z listem od mego brata Jakóba.

Na pół drogi spostrzegłem odźwiernego, który cały zadyszany szedł na spotkanie moje.

— Panie Danielu — rzekł mi, czekają na pana u dyrektora.

U dyrektora? I co mógł mieć dyrektor do powiedzenia mi?... Odźwierny patrzał na mnie z dziwną miną. Nagle myśl o podprefekcie, o którym zapomniałem był, przyszła mi znowu.

— Czy pan podprefekt jest tam, na górze? spytałem.

— Na górze — odpowiedział mi odźwierny.

I z sercem, bijącem nadzieją, zacząłem biedz po schodach, przeskakując po kilka stopni na raz.

Są takie dni, gdzie człowiek jest jak warjat. Dowiedziawszy się, że podprefekt czeka na mnie — zgadnijcie — co wyobraziłem sobie! Uroiłem, że w czasie obrzędu rozdawania nagród, zauważał moją przyjemną powierzchowność, że teraz umyślnie przybył do kolegium, ażeby mi ofiarować u siebie miejsce sekretarza. Wydawało mi się to najnaturalniejszą rzeczą w świecie. List Jakóba z historją o starym markizie sprawił wyraźne zamięszanie w mej głowie.

Bądź co bądź, w miarę jak wstępowałem na schody, pewność moja zwiększała się: sekretarzem podprefekta! nie posiadałem się z radości.

Na załomie kurytarza spotkałem Rogiera. Bardzo był blady; popatrzał na mnie, jak gdyby chciał coś mówić; ale ja nie zatrzymałem się, podprefekt nie miał czasu czekać.

Kiedy stanąłem przed gabinetem dyrektora, serce biło mi silnie. Sekretarzem pana podprefekta! Musiałem zatrzymać się na chwilkę, by odetchnąć; poprawiłem krawatkę, ręką przygładziłem włosy i z lekka pocisnąłem klamkę drzwi.

Gdybym był wiedział, co mię tam czekało!

Pan podprefekt stał, niedbale oparty o kominek, i uśmiechał się. Pan. dyrektor w szlafroku pokornie trzymał w ręku swoją czapeczkę aksamitną; pan Viot, spiesznie przywołany, krył się w kącie.

Jak tylko wszedłem, podprefekt zabrał głos.

— A, to ten pan — rzekł wskazując na mnie, co się bawi uwodzeniem naszych panien służących?

Powiedział te słowa głosem wyraźnym, ironicznym, i nie przestając uśmiechać się. Sądziłem z początku, że żartuje i nie odpowiedziałem nic, ale podprefekt nie żartował; po chwilowem milczeniu – odezwał się znowu, zawsze uśmiechając:

— Czy nie do pana Daniela Eyssette'a mam honor mówić? do pana Daniela Eyssett'a, który uwiódł pannę służącą mojej żony?

Nie rozumiałem, o co chodziło; ale słysząc wyraz panny służącej, który po raz drugi rzucano mi w twarz, zaczerwieniłem się ze wstydu i z rzeczywistem oburzeniem zawołałem:

— Pannę służącą, ja!... ja nigdy nie uwiodłem panny służącej.

Po tej odpowiedzi, ujrzałem błyskawicę pogardy, strzelającą z okularów dyrektora, i usłyszałem klucze, szepczące w kącie! „Jaka bezczelność!“

Podprefekt nie przestawał uśmiechać się; wziął z kominka małą paczkę papierów, których nie spostrzegłem był dotąd, poczem obracając się do mnie i niedbale potrząsając niemi, rzekł:

— Oto, bardzo ciężkie dowody, które oskarzają pana. Są to listy znalezione u panny, o której mowa. Prawda, że nie ma na nich podpisu, i że panna służąca nie chciała wymienić nikogo. Ale że w tych listach bardzo często jest mowa o kolegium, przybyłem więc tutaj dla zasięgnięcia wiadomości i nieszczęściem dla pana, pan Viot poznał pismo pańskie a nawet styl jego...“

Tu klucze straszliwie zgrzytnęły, a podprefekt zawsze uśmiechnięty, dodał:

— Nie wielu jest poetów w kolegium Sarlande.

Na te słowa nagła myśl przemknęła mi przez głowę; chciałem przypatrzyc się z bliska listom. Rzuciłem się ku nim; dyrektor zląkł się skandalu i chciał mię powstrzymać. Ale podprefekt spokojnie podał mi papiery.

— Proszę zobaczyć — rzekł do mnie.

Spojrzałem... Boże moja korespondencja z Cecylją... Wszystkie listy tam były, wszystkie! Od tego, który zaczynał się „O Cecyljo, niekiedy na dzikiej skale...“ aż do dziękczynnej pieśni: „Aniele, zgodziłeś się przepędzić noc jedną na ziemi...“ I pomyśleć, że wszystkie te piękne kwiaty miłośnej retoryki składałem w dani jakiejś pannie służącej!... Pomyślcie, że ta osoba na stanowisku tak wysokiem, tak, etc..., co rana czyściła kalosze pani podprefektowej!... Można przedstawić sobie moje zdziwienie, moją wściekłość, moje pomięszanie.

— I cóż pan na to panie don Żuanie? — szyderczo przemówił podprefekt,—po chwilowem milczeniu. Czy listy te pochodzą od pana, tak lub nie?

Zamiast odpowiedzi, spuściłem głowę. Jednem słowem mogłem uniewinnić się; ale tego słowa nie wyrzekłem. Gotów byłem wszystko wycierpieć raczej, aniżeli zdradzić Rogiera... Bo, zauważcie to dobrze, w katastrofie tej, ten Mały ani na jedną chwilę nie podejrzywał prawości przyjaciela swego. Poznając listy, powiedział sobie zaraz: „Rogier lenił się przepisywać je; wolał grać dłużej w bilard i posyłał moje listy.“ Co za niewiniątko, ten Mały!

Kiedy podprefekt spostrzegł, że nie chcę odpowiadać, włożył listy do swej kieszeni i odwracając się do dyrektora i jego poplecznika — rzekł:

— Teraz, panowie, wiecie, co wam pozostaje do zrobienia.

Na to klucze pana Viot'a ponuro zadźwięczały, a dyrektor, kłaniając się aż do ziemi, odpowiedział, że pan Eyssette zasłużył na to, by go natychmiast wypędzono; ale że dla uniknięcia skandalu, pozostanie w kolegium tydzień jeszcze.“ Tyle właśnie czasu, ile potrzeba dla sprowadzenia nowego korepetytora.

Na te straszne słowo „wypędzony“ cała odwaga opuściła mię. Ukłoniłem się w milczeniu i szybko wyszedłem. Jak tylko znalazłem się za drzwiami, łzy mi się z oczu puściły... Pędem pobiegłem do pokoju mego, chustką tłumiąc łkanie...

Rogier czekał na mnie; miał minę bardzo niespokojną i wielkimi krokami przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju.

Ujrzawszy mię wchodzącego, podszedł ku mnie:

— Panie Danielu?... — rzekł i pytający wzrok utkwił we mnie. Nie odpowiadając, padłem na krzesło.

—Łzy, dzieciństwo—rzekł szorstkim tonem, wszystko to nic nie dowodzi. Powiedz... prędko co się stało.

Opowiedziałem mu wówczas wszystkie szczegóły okropnej sceny w gabinecie.

W miarę jak mówiłem, twarz Rogiera rozjaśniała się; nie patrzał już na mnie z tą dumną miną i nakoniec, kiedy dowiedział się, jak nie chcąc go zdradzić, dałem się wypędzić z kolegium, wyciągnął do mnie obie swe otwarte ręce i rzekł po prostu:

— Danielu, jesteś szlachetnem sercem.

W tej chwili usłyszeliśmy turkot powozu na ulicy; podprefekt odjeżdżał.

— Jesteś szlachetnem sercem — mówił dalej mój przyjaciel fechmistrz, ściskając mi ręce tak, że o mało mi ich nie pogruchotał — jesteś szla-

chetnem sercem, tyle tylko powiem... Ale rozumiesz przecie, że nie pozwolę, aby ktokolwiek miał się poświęcać za mnie.

To mówiąc, zbliżył się ku drzwiom...

— Nie płacz, panie Danielu; idę do dyrektora i upewniam cię, że nie ty zostaniesz wypędzony.

Jeszcze krok jeden postąpił ku drzwiom; potem, wracając ku mnie, jak gdyby przypomniał coś, rzekł do mnie z cicha:

— Tylko, posłuchaj dobrze, zanim odejdę... wielki Rogier nie sam jest na świecie; ma on gdzieś starą kalekę matkę... Matkę!... Biedna, święta kobieta!... Przyrzecz mi, że napiszesz do niej, Danielu!... O ten jeszcze, ostatni list proszę ciebie, Danielu... przyrzecz mi, że napiszesz do niej, kiedy już wszystko skończy się.

Powiedział to spokojnie, poważnie, tonem, który mię przestraszył.

— Co chcesz robić? — zawołałem.

Rogier nie odpowiedział nic; tylko odchylił surdut i pokazał mi w kieszeni swej błyszczącą kolbę pistoletu.

Wzruszony, rzuciłem się ku niemu:

— Chcesz się zabić, nieszczęśliwy? chcesz się zabić?

A on na to bardzo zimno rzecze:

— Mój kochany, kiedy byłem na służbie jeszcze, zobowiązałem się sam przed sobą, że gdyby kiedy szalona głowa moja dopuściła się czegoś takiego, za co by mię zdegradować mogli nie przeżyję utraty honoru mego. Teraz nadeszła chwila dotrzymania sobie słowa... Za pięć minut zostanę wypędzony z kolegium, to jest zdegradowany; w godzinę potem, dobranoc! ostatnią połykam pigułkę.

Usłyszawszy to, śmiało zastąpiłem drzwi.

— Nie, Rogierze, nie wyjdziesz... Wolę utracić posadę moję, aniżeli być powodem twojej śmierci.

— Pozwól mi spełnić mój obowiązek — rzekł mi ostrym tonem. I pomimo mych usiłowań, otworzył drzwi.

Wówczas zacząłem mu mówić o matce jego, o tej biednej matce, którą miał gdzieś daleko. Dowodziłem mu, że powinien żyć dla niej, że co do mnie łatwo znajdę inne miejsce, że wreszcie, w każdym razie, mamy jeszcze przed sobą tydzień cały, i że do tak strasznego kroku można się uciec dopiero w ostatniej chwili... Ta ostatnia uwaga trafiła, jak się zdawało do przekonania jego. Zgodził się zaczekać godzin kilka jeszcze, i potem dopiero jeżeli nic się nie zmieni, pójść do dyrektora i spełnić to, co uważał za powinność swoją.

Tymczasem dzwonek odezwał się; uścisnęliśmy się, i pobiegłem do klasy.

Czemże jest człowiek! Wszedłem był do pokoju mego zrozpaczony, wyszedłem z niego prawie wesoły...

Ten Mały tak dumny był z tego, że uratował życie swemu przyjacielowi fechmistrzowi!

Jednakże muszę wyznać, że usiadłszy na katedrze mojej, kiedy pierwszy zapał minął, zacząłem rozmyślać nad tem, co zaszło. Rogier zgadzał się żyć, to bardzo dobrze; ale ja sam cóż pocznę, kiedy piękne poświęcenie się moje wyrzuci mię za drzwi kolegium?

Położenie nie było wesołe; odbudowanie ogniska odłożone na czas nieokreślony, matka we łzach, a pan Eyssette bardzo rozgniewany. Na szczęście, przyszedł mi na myśl Jakób: jaki szczęśliwy zbieg okoliczności, że list jego właśnie dzisiaj odebrałem! Rzecz prosta, udam się do niego; czyż nie pisał do mnie, że w jego łóżku jest miejsce na dwóch? zresztą w Paryżu zawsze można znaleść środek do życia...

Tu myśl straszna zatrzymała mię; ażeby jechać, trzeba mieć pieniądze; najprzód na kolej żelazną, potem dziesięć franków, które pożyczył mi był jeden z uczniów, potem ogromne sumy, zapisane na imię moje w kawiarni Barbette. Zkądże miałem wziąć te pieniądze?

— Bah! pomyślіłem sobie wreszcie, naiwny jestem, mam się o co troszczyć; mam przecie Rogiera. Rogier jest bogaty, daje lekcje na mieście, i z przyjemnością dostarczy mi kilkaset franków, mnie, który ratuję mu życie.

Tak załatwiwszy interesa moje, zapomniałem o wszystkich klęskach dnia tego i cały oddałem się jednej myśli, myśli o wielkiej podróży do Paryża. Czułem się uszczęśliwiony, nie mogłem usiedzieć na miejscu, i pan Viot, który przyszedł był do klasy, chcąc się nasycić widokiem mojej rozpaczy, mocno się zawiódł, widząc mię wesołym. Podczas obiadu jadłem prędko i dobrze; na podwórzu darowałem uczniom karę poprzednio naznaczoną; nakoniec godzina lekcji wybiła.

Najpilniejszą rzeczą było zobaczyć się z Rogierem; jednym skokiem dostałem się do jego pokoju; pokój był pusty. „Dobrze, pomyślałem sobie, poszedł do kawiarni Barbette,“ w tak dramatycznych okolicznościach nie dziwiłem się temu wcale.

W kawiarni Barbette nie zastałem również nikogo: „Rogier, powiedziano mi, udał się na Łąkę z podoficerami. Czegoż u djabła na taką pogodę poszli tam? Zaczynałem niepokoić się; to też nie zgodziłem się grać w bilard, co mi proponowano, a podchyliwszy dolny brzeg spodni, puściłem się po śniegu w stronę Łąki, szukając mego dobrego przyjaciela fechmistrza.

XII.

Żelazny pierścień.

Z Sarlande na Łąkę dobre jest półgodziny drogi; ale dnia tego biegłem tak prędko, że zapewne mniej niż kwadrans potrzebowałem na to. Drżałem o Rogiera; przypuszczałem, że biedny chłopiec, pomimo obietnicy swojej, mógł, podczas kiedy byłem zajęty z uczniami, wszystko opowiedzieć dyrektorowi; widziałem przed sobą błyszczącą kolbę pistoletu; ta ponura myśl dodawała mi skrzydeł.

Uspokajałem się jednak powoli, spostrzegając tu i ówdzie na śniegu ślady licznych kroków idących w stronę łąki, dowodziło to bowiem, że fechmistrz nie był sam.

Wówczas zwolniłem biegu i zacząłem myśleć o Paryżu, o Jakóbie, o moim wyjeździe... Ale po chwili obawy moje znowu wróciły.

— Widocznie, że Rogier myśli o samobójstwie. Inaczej czegożby tu był przyszedł, w to puste miejsce? Przyprowadził z sobą przyjaciół swoich z kawiarni Barbette, bo chce pożegnać się z nimi, wypić strzemiennego, jak to oni nazywają... O ci wojskowi! I znowu biegłem tracąc prawie oddech.

Szczęściem, zbliżałem się do Łąki; spostrzegałem już wielkie jej drzewa, pokryte śniegiem.

— Biedny przyjacielu, myślіłem sobie, bylebym tylko przybył na czas!

Ślad kroków zaprowadził mię aż do szynku Espéron.

Szynk ten złej używał opinji; tu hulacy Sarlandy wyprawiali swoje tajemnicze zabawy. Bywałem tu nieraz w towarzystwie szlachetnych serc; ale nigdy miejsce to nie wydało mi się tak złowrogiem. Dom żółty, brudny, silnie odbijał od śnieżnej białości płaszczyzny; drzwi miał niskie, ściany porysowane, odrapane, szyby u okien nieczyste. Zdawał się wstydzić swego brzydkiego rzemiosła i trwożliwie chował się po za kępą małych wiązów.

Kiedym się zbliżył do szynku, usłyszałem hałas złożony z wesołych głosów, śmiechów i dzwoniących szklanek.

— Wielki Boże — rzekłem do siebie, zadrżawszy, to strzemienne. I zatrzymałem się, chcąc odetchnąć.

Znajdowałem się w tylnej stronie szynku; pchnąłem kratowane drzwi i ujrzałem się w ogrodzie. Jaki ogród! Wielki z zieloności odarty płot, krzewy bzów ogołocone z liści, kupy śmieci na śniegu i altanki białe, podobne do chałup Eskimosów. Aż się płakać chciało, takie to było smutne.

Hałas pochodził z sali dolnego piętra, i hulatyka musiała być gorąca w tej chwili, bo pomimo chłodu otwarto na roścież oba okna sali.

Postawiłem już był nogę na pierwszym stopniu ganku, kiedy w tem parę wyrazów rozmowy uderzyło mię; stanąłem jak wryty, i krew mi się ścięła w żyłach; usłyszałem własne me nazwisko, wśród wybuchów śmiechu kilkakrotnie powtórzone. Rogier mówił o mnie, i rzecz dziwna, ile razy imię Daniela Eysette'a wspomniał, tamci zachodzili się od śmiechu.

Pchnięty bolesną ciekawością, czując, że się dowiem czegoś nadzwyczajnego, cofnąłem się w tył i, nie słyszany ani widziany przez nikogo, dzięki śniegowi, który tłumił kroki moje wślizgnąłem się do jednej z altanek, znajdującej się tuż pod oknami.

Całe życie będę pamiętał ową altanę; całe życie będę pamiętał zżółkłe, jesienne liście, co ją oplatały; ziemię brudną, błotnistą; mały stoliczek pomalowany na zielono i drewniane ławki całe wodą zalane... Światło przedzierało się słabo przez warstwę śniegu, leżącego na wierzchu; śnieg topniał powoli; kropla za kroplą powoli spadała na głowę moją.

Tam to, w tej altanie czarnej i zimnej jak grób, dowiedziałem się, jak dalece ludzie mogą być źli i podli, tam to nauczyłem się wątpić, pogardzać, nienawidzieć... O wy, którzy mię czytacie, niech was Bóg strzeże, abyście kiedy wejść mieli do podobnej altanki... Stałem, zatrzymując w sobie oddech i czerwony z gniewu i wstydu, słuchałem co mówiono u Espérou'a.

Mój przyjaciel fechmistrz wciąż mówił... Opowiadał przygodę swoją z Cecylją, miłosną korespondencję, wizytę pana podprefekta w kolegium, wszystko to z ozdóbkami i giestami, które musiały być bardzo komiczne, wnosząc z zapału słuchaczy jego.

— Pojmujecie, moi mali przyjaciele — mówił swym głosem szyderczym — że nie naprόżno przecież grałem komedję przez trzy lata w teatrze żuawów. Na honor jak was tu widzę! przez chwilę sądziłem, że wszystko stracone, i że nie będę już więcej pił z wami dobrego wina u ojca Espéron. Mały Eyssette nie powiedział nic, to prawda, ale mógł jeszcze powiedzieć; i między nami mówiąc, sądzę, że chciał mi tylko pozostawić honor osobistego oskarzenia się. Spo-

strzegłszy to, powiedziałem sobie: Pilnuj się, Rogierze, i dalejże wielka scena.

Tu mój dobry przyjaciel fechmistrz począł odegrywać tak zwaną wielką scenę, to jest to, co zaszło rano w moim pokoju, między nim a mną. Ah! nędznik, nie z niej nie zapomniał.. „Matka moja! moja biedna matka!“ — wołał teatralnym tonem. Potem naśladował mój głos: „Nie, Rogierze, nie, nie wyjdziesz ztąd!“... Wielka scena była rzeczywiście komiczna bardzo, i widzowie śmieli się do rozpuku. Ja czułem, jak gorące łzy płynęły mi po policzkach; drżałem cały, w uszach mi dzwoniło, pojmowałem całą ohydę komedji rannej, domyślałem się, że Rogier umyślnie posyłał listy moje, ażeby takim sposobem uchronić się od wszelkiej odpowiedzialności; że od dwudziestu lat już matka jego, biedna jego matka, nie żyła, i że futerał fajki wziąłem za kolbę pistoletu.

— A piękna Cecylja? — zapytało jedno ze szlachetnych serc.

— Cecylja nie powiedziała nic, spakowała rzeczy swoje; to dobra dziewczyna.

— A mały Daniel, cóż się z nim stanie?

— Bah! — odpowiedział Rogier.

Tu zrobił giest, który wszystkich rozśmieszył. Śmiech ten przyprowadził mię do wściekłości. Chciałem wyjść z altanki i jak widmo stanąć nagle przed nimi... Ale wstrzymałem się; bez tego już byłem dość śmieszny.

Podano pieczyste; stuknięto w szklanki.

„Niech żyje Rogier! niech żyje Rogier!“ wołano.

Nie mogłem już więcej wytrzymać, nadto cierpiałem. Nie troszcząc się o to, czy mię kto nie zobaczy, puściłem się przez ogród. Jednym skokiem przebiegłem zakratowane drzwi i jak szalony zacząłem biedz naprzód.

Noc zapadła z cicha. Przy słabem świetle wieczornego mroku, ogromna płaszczyzna śnieżna dziwnie smutne wrażenie sprawiała.

Biegłem tak przez czas jakiś jak zranione jagnię, i gdyby serca pęknięte i krwawiące się nie były tylko prostem obrazowaniem, którego używają poeci, upewniam was, że na białej płaszczyźnie, po za mną ciągnąłby się długi ślad krwi.

Czułem się zgubiony; zkąd wziąć pieniądze? Jak wyjechać? Jak dostać się do brata Jakóba? Na nic by mi się już nie zdało, gdybym nawet wydał Rogiera... Teraz, kiedy Cecylja odjechała, mógł się wyprzeć wszystkiego.

Nakoniec, znękany, wycieńczony bolem i znużeniem, padłem na śniegu pod kasztanem. Byłbym pozostał tam może do dnia następnego, płacząc i nie mając siły do myślenia, kiedy nagle z daleka, bardzo z daleka, od strony Sarlande, usłyszałem dzwonek. Był to dzwon kolegium. O wszystkiem zapomniałem był, dzwon ten przywołał mię do życia. Musiałem wrócić i pilnować uczniów podczas rekreacji na sali... Wspomniawszy na salę, nagła myśl przyszła mi do głowy. Natychmiast łzy moje płynąć przestały; uczułem się silniejszym, spokojniejszym. Powstałem z ziemi, i krokiem śmiałym, krokiem człowieka, który powziął nieodwołalne postanowienie, zacząłem wracać do Sarlande.

A teraz, jeżeli chcecie wiedzieć, jakie to nieodwołalne postanowienie zrobił ten Mały, idźcie za nim po tej wielkiej białej płaszczyźnie aż do Sarlande; idźcie po ciemnych, błotnistych ulicach; idźcie pod czarny krużganek kolegium; idźcie na salę podczas rekreacji i uważcie, jak uparcie spogląda na wielki żelazny pierścień, który się kołysze na środku; po rekreacji idźcie za nim do klasy, wejdźcie na katedrę jego i z po za ramienia czytajcie ten list, który pisze wśród hałasu dzieci, podbudzonych jeszcze rekreacją:

Pan Jakób Eyssette, ulica Bonaparte
w Paryżu.

„Daruj mi, najdroższy mój Jakóbie, boleść, którą ci sprawiłem. Raz jeszcze zapłaczesz, ty co już przestałaś płakać; będzie to po raz ostatni... kiedy odbierzesz ten list, Daniel twój żyć już nie będzie...“

Tu hałas wzmaga się; ten Mały przestaje pisać i wyznacza pokuty na prawo i na lewo, ale poważnie, bez gniewu. Potem wraca do listu:

„Bo to widzisz, Jakóbie, byłem nadto nieszczęśliwy. Nie mogłem inaczej zrobić, musiałem się zabić. Przyszłość moja zwichnięta została zupełnie; wypędzono mię z kolegium — z powodu pewnej histerji o kobietę, za długo to opowiadać; narobiłem także długów, nie umiem już pracować, wstydzę się, nudzę, mam wstręt; życie przestrasza mię... Wolę odejść...“

Ten Mały znowu musi przerwać pisanie: „Pięćset wierszy uczniowi Soubeyrol. Fonque i Loupi nie wyjdą w niedzielę!“ To powiedziawszy, znowu bierze się do listu:

„Bądź zdrów, Jakóbie. Miałbym wiele jeszcze do powiedzenia ci, ale czuję, że będę płakał, i uczniowie patrzą na mnie. Mamie powiedz, żem się usunął ze skały na przechadzce, albo żem utonął, ślizgając się na łyżwach. Wreszcie wymyśl jaką chcesz bajeczkę, ale niech biedna kobieta nigdy nie dowie się prawdy... Uściśnij ją mocno za mnie, tę drogą matkę; uściśnij także naszego ojca i staraj się prędko odbudować dla nich piękne ognisko... Żegnam cię, kocham cię. Pamiętaj o mnie Danielu.“

Skończywszy ten list. Daniel bierze się natychmiast do pisania drugiego:

„Łaskawy księże! Upraszam pana odesłać do mego brata Jakóba list, który pozostawiam do niego. Proszę też uciąć trochę włosów moich dla mojej matki.

„Przepraszam pana za przykrość, którą mu sprawiam Popełniłem samobójstwo, bo nadto byłem nieszczęśliwy. Pan tylko jeden zawsze byłeś dobrym dla mnie. Dziękuję mu za to.

„Daniel Eyssette.“

Poczem, ten Mały zamyka oba listy w jedną wielką kopertę i nadpisuje na niej: „Osoba, która pierwsza znajdzie trupa mego, złoży list ten w ręce księdza Germane.“ I tak załatwiwszy wszystkie swe sprawy, spokojnie czeka końca swojej godziny w klasie.

Skończyła się nauka. Następuje kolacja, potem modlitwa, wreszcie wszyscy udają się do sypialni.

Uczniowie kładną się; ten Mały przechadza się wzdłuż i wszerz, czekając, aż zasną. Oto pan Viot, który obchodzi sypialnie; słychać tajemnicze dzwonienie kluczów jego i głuchy szmer trzewików na posadzce. Dobrej nocy, panie Viot, szepce ten Mały. Dobrejnocy, panu — odpowiada cicho inspektor. Poczem oddala się, kroki jego gubią się na kurytarzu.

Ten Mały pozostaje sam. Po chwili otwiera drzwi i zatrzymuje się chwilę na schodach, może uczniowie rozbudzą się; nic nie przerywa milczenia w sypialni.

Schodzi wówczas, małymi krokami przesuwa się koło ścian. Z pode drzwi wiatr smutnie wieje. Na dole, mijając sień, widzi podwórze białe od śniegu między czterma ciemnemi stronami gmachu.

Tam, wysoko, blisko dachów, światełko czuwa; to ksiądz Germane pracuje nad swem wielkiem dziełem. Z głębi serca swego ten Mały zasyła ostatnie, bardzo serdeczne pożegnanie, temu dobremu księdzu; potem wchodzi do sali...

Starą gimnastyczną salę szkoły marynarki, zalewa noc zimna, ponura. Przez kraty okna wązki, słaby promień księżyca przedziera się i pada wprost na gruby pierścień żelazny, oh! ten pierścień! Ten Mały o nim tylko myśli od godzin kilku, na wielkim pierścieniu żelaznym, który błyszczy jak srebro... W jednym kącie sali stary stołek drzemie. Ten mały idzie po niego, przynosi go, stawia pod pierścieniem i sam staje na stołku; nie omylił się, wysokość taka jak trzeba. Odwiązuje wówczas krawatkę swoją, długą krawatkę jedwabną fioletową, którą obwiązywał koło szyji jak wstążkę. Przywiązuje krawatkę do pierścienia i robi pętelkę... Pierwsza bije. Trzeba umierać!... Ten Mały drżącemi rękami rozsuwa pętlę. Rodzaj gorączki, niby szał opanowuje go. Żegnam cię, Jakóbie! Żegnam, panie Eyssette!...

Nagle żelazna dłoń jakaś chwyta go w pół, podnosi w górę i stawi na ziemi koło stołka. Jednocześnie głos ostry, szyderczy a dobrze mu znany mówi: „A to pomysł, gimnastykować się o tej godzinie!“

Ten Mały odwraca się zdumiony.

To ksiądz Germane, ksiądz Germane bez sutany w zielonych spodniach, z rabatem wiszącym na kamizelce. Piękna twarz jego szpetna, na wpół oświecona księżycem, smutnie się uśmiecha... Jedną ręką tylko postawił samobójcę na ziemi; w drugiej jeszcze trzyma karafkę swą, którą właśnie napełnił był u studni na dziedzińcu.

Widząc pomięszaną twarz i pełne łez oczy tego Małego, ksiądz Germane przestał uśmiechać się i głosem, teraz już łagodnym, prawie wzruszonym powtarza:

— Co za śmieszna myśl, mój drogi Danielu, gimnastykować się o tej godzinie!

Ten Mały czerwieni się i blednie naprzemian.

— Ja nie gimnastykuję się, księże; ja chcę umrzeć.

— Jakto... umrzeć?... toś taki nieszczęśliwy?

— Oh!... — odpowiada ten Mały z wielkimi palącemi łzami, które spływają po jego policzkach.

— Danielu chodź ze mną — mowi ksiądz.

Ten Mały głową potrząsa i wskazuje na żelazny pierścień z krawatką... Ksiądz Germane bierze go za rękę:

— No, chodź do mego pokoju; jeżeli chcesz się zabić, to się zabijesz tam; jest ogień, przyjemnie tam i dobrze.

Ale ten Mały opiera się: „Pozwól mi umrzeć księże! Nie masz prawa przeszkadzać mi umierać!“

Błyskawica gniewu mignęła w oczach księdza: „A to tak, zawołał i nagle chwytając Daniela za pasek, unosi go pod pachą jak zawiniątko, pomimo jego oporu i próśb...

Otóż jesteśmy u księdza Germane; wielki ogień pali się na kominie, przy ogniu stoi stół z zapaloną lampą, fajkami i stosami papieru drobno zapisanego.

Ten Mały siedzi koło kominka. Bardzo jest wzruszony, mówi wiele, opowiada swe życie, nieszczęścia swoje i dla czego chciał zabić się. Ksiądz słucha, uśmiechając się; potem kiedy dziecko wygadało się, wypłakało, ulżyło swemu biednemu,

*

choremu sercu, poczciwy człowiek ujmuje ręce jego i bardzo spokojnie mówi:

— Wszystko to jest niczem, mój chłopcze, i byłbyś bardzo głupi, gdybyś dla takiej drobnostki odebrał sobie życie. Historja twoja jest bardzo prosta; wypędzono cię z kolegium — co mówiąc nawiasem, wielkiem jest szczęściem dla ciebie... To i cóż? Trzeba jechać, jechać zaraz, nie czekając końca owego tygodnia twego... Cóż u licha! Nie jesteś przecie kucharką!... Twoja podróż, długi twoje, nie troszcz się o to! Biorę to na siebie... Pieniądze, które chciałeś pożyczyć u tego łotra, ja ci je pożyczę. Wszystko to załatwimy jutro... A teraz ani słowa więcej, muszę pracować, a ty potrzebujesz spocząć... tylko nie chcę, byś wracał do twojej okropnej sypialni, zimno ci tam byłoby, lękałbyś się; położysz się na mojem łóżku; śliczne białe prześcieradła zasłano dzisiaj właśnie!... ja pisać będę noc całą, a jeżeli spać mi się zechce, położę się na kanapie... Dobrej nocy! Nie mów do mnie więcej!

Ten Mały kładzie się bez oporu... Wszystko, co mu się przytrafiło, snem mu się wydało. Ileż wypadków w jednym dniu! Być tak blizko śmierci, a potem znaleźć się w dobrem łóżku, spokojnym i ciepłym pokoju... Jakże temu Małemu dobrze jest!... Od czasu do czasu otwiera oczy i przy łagodnem świetle przysłoniętej lampy widzi dobrego księdza Germana, który z cichym szelestem pióra, zapełnia od góry do dołu białe kartki papieru.

Nazajutrz rano zbudził mię ksiądz potrząsając za ramię. Śpiąc, zapomniałem o wszystkiem... Rozśmieszyło to wybawcę mego.

— No, chłopcze, rzekł do mnie, spiesz się, dzwonią już; nikt nie domyśla się niczego, idź po uczniów twoich jak zwykle, w czasie rekreacji po śniadaniu, będę tu czekał na ciebie i rozmówimy się wówczas.

Pamięć wróciła mi nagle. Chciałem podziękować mu, uścisnąć go, ale ksiądz stanowczo wyrzucił mię za drzwi.

Nie potrzebuję mówić jak długą wydała mi się godzina lekcji... Uczniowie nie byli jeszcze na podwórzu, a już pukałem do drzwi księdza Germane. Siedział przed kantorkiem i otwartemi szufladami jego, zajęty był rachowaniem sztuk złota, które starannie układał w małe kupki.

Usłyszawszy mię wchodzącego odwrócił głowę, potem nic do mnie nie mówiąc, robił swoje dalej; skończywszy, zamknął szuflady i dając mi znak ręką, rzekł z przyjaznym uśmiechem:

— Wszystko to dla ciebie — rzecze — zrobiłem rachunek za ciebie. Oto na podróż, to dla odźwiernego, to dla kawiarni Barbette, to dla ucznia, który pożyczył ci dziesięć franków... Odłożyłem był te pieniądze dla kupienia zastępcy memu młodszemu bratu; ale losowanie przypada dopiero za sześć lat, a do tego czasu zobaczymy się przecie".

Chciałem mówić, ale ten gorączka nie dał mi przyjść do słowa: A teraz, mój chłopcze, pożegnaj mię, dzwonek wzywa na lekcją, nie chcę zastać cię tu więcej, jak wrócę z klasy. Powietrze tej Bastylji nie służy ci wcale... Umykaj prędko do Paryża, pracuj dobrze, módl się, pal fajki, i staraj się być człowiekiem! — Rozumiesz mię, staraj się być człowiekiem! Bo widzisz mój mały Danielu, jesteś tylko dzieckiem, a nawet obawiam się bardzo, byś nie pozostał dzieckiem na całe życie."

Tu z boskim uśmiechem otworzył mi ramiona swoje, ale ja płacząc rzuciłem mu się do kolan. On wówczas wyciągnął nademną ręce swe wzywał błogosławieństwa bożego na moją szaloną głowę; potem podniósł mię i ucałował w oba policzki.

Dzwonek odezwał się po raz ostatni.

— Dobrze! Otoż i spóźnię się, rzekł, spiesznie gromadząc książki swe i zeszyty. Wychodząc już obrócił się raz jeszcze do mnie.

— Mam brata w Paryżu i ja także, poczciwy ksiądz, mógłbyś go odwiedzić... Ale na w pół nieprzytomny jesteś i zgubiłbyś adres. — I nic już więcej nie mówiąc, wielkimi krokami począł zstępować ze schodów. Sutanna powiewała za nim; prawą ręką trzymał czapeczkę, a pod lewem ramieniem niósł grubą paczkę papierów i książek... Dobry ksiądz Germane! Przed wyjściem rzuciłem ostatnie spojrzenie na pokój jego, po raz ostatni popatrzyłem na wielką bibliotekę, stoliczek, ogień prawie wygasły, fotel, na którym siedząc tyle łez wylałem, łóżko na którem tak dobrze spałem i myśląc o tem życiu tajemniczem, w którem odgadywałem tyle męztwa, ukrytej dobroci, poświęcenia, rezygnacji, rumieniłem się, wspominając na moje tchórzostwo i nikczemność i przysiągłem sobie, że nigdy nie zapomnę księdza Germane.

Ale czas uchodził... Miałem jeszcze spakować rzeczy, spłacić długi, zamówić miejsce w dyliżansie...

W chwili, kiedy wychodziłem, spostrzegłem na kominku kilka starych fajek, zupełnie czarnych. Wziąłem najstarszą z nich, najczarniejszą i włożyłem do kieszeni mojej jak relikwie; potem zeszedłem na dół.

Na dole drzwi od sali były jeszcze na pół otwarte. Nie mogłem się powstrzymać i przechodząc mimo rzuciłem okiem wewnątrz; zadrżałem...

Ujrzałem salę ciemną, zimną, pierścień błyszczący i moją krawatkę fiołkową z pętlą, którą przeciąg powietrza poruszał; bujała w tę i ową stronę po nad przewróconym stołkiem.

(C. d. n).

KRONIKA TYGODNIOWA.

Bohaterem dni ostatnich był Siemiradzki. Nigdy może jeszcze artysta w tak młodym wieku nie doczekał się takich owacji i tak entuzjastycznych oznak sympatji.

Przejazd jego przez Galicję był jakby pochodem tryumfatora. Deputacje go witały, damy wręczały kwiaty, naród cisnął się do dworców kolejowych. Wreszcie miasto nasze zrobiło dlań wszystko co uczynić mogło, aby wyrazić mu swoje uznanie.

Składało się hołd już nietylko człowiekowi z olbrzymim talentem i sercem jemu dorównywującem, ale idei, którą on reprezentował, idei ofiarności dla kraju, wyrażenia swego doń przywiązania wszędzie i na każdym kroku.

Dar Siemiradzkiego jak błyskawica olśnił wszystkich, pobudził do ruchu, do życia, pociągnął za sobą cały szereg innych, chociaż skromniejszych, ale z równem sercem na ołtarzu kraju złożonych ofiar. To powinno być dlań wyższą nagrodą, niż wszystkie wieńce z kwiatów, które mu wręczono, niż hołdy, które otrzymał od tych, co stoją na czele kraju.

Entuzjastyczne owacje dla Siemiradzkiego przypominają nam to, co młody jeszcze wówczas autor klubu Pickwicku, w swej podróży po Kanadzie odbierał. Parlament wyszedł na jego spotkanie i wszyscy stali w sali, aż póki Dickens nie usiadł na krześle obok prezydenta. Dickens opowiadał potem, że żadne późniejsze dowody uznania nie zrobiły na nim tak silnego wrażenia, nic go bardziej nie zachęciło do dalszej pracy.

Pobyt Siemiradzkiego we Lwowie nie pozostał bez ważnych praktycznych rezultatów. Myśl wystaw ogólno-polskich powzięta jeszcze w Krakowie przybrała realniejszą postać i zawiązał się komitet, który w porozumieniu z komitetem krakowskim ma zająć się urządzeniem pierwszej wystawy za lat kilka. Wtedy będziemy po raz pierwszy mogli sobie wyrobić pojęcie dobre o stanie obecnym sztuki u nas, poznamy co łączy z sobą artystów w ich myślach i jakie są cechy przywiązane do właściwie polskich utworów.

Przyjęcie Siemiradzkiego we Lwowie odbyło się składnie i ładnie, lecz dalekiem to było od uroczystości krakowskich. Zresztą o ich powtórzenie nie chodziło tu wcale i jeśli były jakie braki, to je przypisać należy raptownie powziętej myśli przyjęcia artysty w naszym grodzie, myśli która wypłynęła z serca i przez ogół przyklaśniętą została. Jubileusz Kraszewskiego przygotowywał się całe miesiące. Ludzie tak czynni jak Zyblikiewicz, Asnyk i wielu innych poświęcali mu cały swój czas — u nas wszystko się wytworzyło w jednej chwili. Jeśli więc były jakie chropowatości w przebiegu owacji, to niechże będą złożone na pośpiech, z którym zostały przygotowane.

Jesteśmy pewni iż, Siemiradzki wyjechał z przekonaniem, odpowiadającem najściślej prawdzie, iż nie było ani jednego człowieka we Lwowie, któryby nie uważał sobie za zaszczyt uściśnienie jego ofiarnej dłoni i ani jednego, któryby się zawahał ofiarować mu całą swoją sympatję i uwielbienie.

* * *

Po tych wszytkich świętach, które na długie lata zagrzały zziębnięte nieco serca, po tym szczerym wylewie uczuć, po tych uściskach w Krakowie i Lwowie, zaczynają się odzywać głosy puszczyków, chcących choć w ten sposób zamanifestować swoją marną obecność. Znany dobrze wszystkim wiadomy Edzio, redaktor „Przeglądu lwowskiego" już sykać zaczyna na obchód Jubileuszowy. Widzi w nim więcej ujemnych stron niż dodatnich i twierdzi, iż bardziej dodatnie żywioły trzymały się zdaleka od uroczystości. Jeżeli siebie Jegomość do dodatnich zalicza, to i owszem, robi nam zaszczyt nazywając nas ujemnymi, ale mamy honor oświadczyć iż brak Jego Osoby et consortów wcale nie dał się nam uczuć w Krakowie. Było tak dobrze, jakby nikogo nie brakowało... ba! nawet w istocie nie brakowało. Chyba że komedjantów, którzyby nam dzwonkami i wykrzywianiem fizjonomji podczas w antraktach rozweselać chcieli.

Jeżeli zaś Jegomość twierdzi, że wszystko co w narodzie najpłytsze i najkrzykliwsze, krzyczało czcigodnemu Jubilatowi „wiwaty", bez żadnych zastrzeżeń i otwierało usta jakby go połknąć miało, to niech Jego Osoba będzie przynajmniej spokojną o swoje ciało. Pewnego rodzaju mięsa nawet krzykacze nie jadają.

* * *

Wpadła nam w rękę nie wielka książka wydana bardzo niedawno w Paryżu nakładem Ksawerego hr. Branickiego. Tytuł jej: *Brama pokuty*. Elegja historyczna przez znakomitego

rabina Gabryela syna Jozuego Herschel Schossburg, dzieło drukowane w Amsterdamie 1651 r. u Emanuela Benvenisty. Przekład polski wykonany ze współpracownictwem Ksawerego Korczak Branickiego. Paryż 1879".

Treścią tej elegji, na którą uwagę Branickiego zwrócił słynny O. Gagaryn Societatis Jesu, jest opis prześladowań wycierpianych przez Izraelitów za czasów Chmielnickiego, który tam nosi nazwę *Chamyla.* Ułożoną jest ona w kształcie modlitw żałobnych, czytywanych w synagogach w rocznice postów dziejowych. Autorem jej rabin mieszkający w owych złowrogich czasach w okolicach Rzyszczowa. Opisuje wypadki w objaśnieniach dodanych do każdej strofy tak jak je widział lub od współwyznawców słyszał.

Pełno tam zdarzeń niezmiernej grozy. Przed oczyma czytelnika przesuwa się tragedja za tragedją i ciągle z piersi rabbiego wyrywa się okrzyk wołający o zemstę do Boga, który ich opuścił. Opis rzezi i okrucieństw dokonany z przerażającą prawdą a tekst elegji jest jednym jękiem rozpaczy i żądzy pomsty.

Lecz jeszcze bardziej niż główny tekst książki zajęła nas polemiczna przedmowa X. hr. Branickiego z swym synowcem Stan. hr. Tarnowskim profesorem Akademji Krakowskiej.

Spór powstał z powodów, które bliżej wyjaśnić należy.

Ksawery hr. Branicki wydał niedawno książkę pod tytułem *Kol-kore* (Głos wołającego) opracowaną przez rabina Sołoweyczyka i posłał ją do Przeglądu Polskiego wychodzącego w Krakowie z prośbą o umieszczenie sprawozdania. Hrabia Stan. Tarnowski odmówił mu jej umieszczenia, motywując, iż „nie rozumie dobrze celu ogłoszenia dzieła, ktore dla chrześcian bolesne i rażące, może ich zmartwić a nie przekonać. Jakie wrażenie zrobi na niechrześcian, domyślać się nie mogę; sądzę wszakże, że dla tych potrzebnem być nie może. Nie rozumiejąc zaś celu dzieła samego, tem mniej pojąć mogę przypisanie jego księdzu katolickiemu, który niczem nie zasłużył na to, żeby z niego żartować." Zapytane przez redaktora żona i „pani Adamowa" zgodziły się na to zapatrywanie i odmowa podpisana przez „przywiązanego sługę i krewnego" doszła do rąk adresata.

Jednakże mimo tej odmownej odpowiedzi, ukazała się w „Przeglądzie" recenzja przez ks. Dr. Pawlickiego i wtedy hr. Br. zażądał wyjaśnienia. W liście pisanym do synowca, którego tytułuje: Jaśnie Wielmożny Hrabio a skoligaceniem najukochańszy synowcze! dziwi się wypadkowi a o recenzencie powiada: „Nie zaprzeczę iż Dr. P. umie władać piórem Skargi, ale mnie się zdaje, iż nie omylę się, gdy go policzę do przekonanych, że Izraelici potrzebują krwi naszych niemowląt do zaprawiania nią macy". W swej recenzji Dr. P. nie wymienił nazwiska tych Polaków którzy brali udział w wydaniu *Kol-kory*; powiedział o nich tylko, że im „pstro w głowie". Otóż jednym z nich, pisze hr. Br. „jest uniżony sługa Najukochańszego Synowca, Ksawery Branicki." który prosi o umieszczenie listu jako odpowiedź na recenzję.

Prof. hr. Tarnowski tłumaczył się z tego niefortunnego przypadku nieobecnością. Złożył winę na p. Zatheya, który zastępował wtedy miejsce redaktora, lecz odmówił stanowczo umieszczenia wzmiankowanego wyżej listu. Na to hr. Br. uprzedził swego synowca, iż dla wyjaśnienia całej sprawy ogłosi korespondencję z redaktorem „Przeglądu", co też uczynił na wstępie do „Bramy pokuty", uzupełniając ją przedmową, którą zawiera mnóstwo szczegółów zajmujących,

Książka dedykowaną jest jaśnie Wielmożnemu Hrabiemu, a skoligaceniem Najukochańszemu Synowcowi. Celem przedmowy, jak autor powiada, jest potrzeba „pomówienia nieco z Panem hrabią o Izraelitach."

Autor z niezwykłym humorem, wytryskającym raczej z treści niż ze stylu, opowiada szereg wydarzeń, nie szczędząc ostrej satyry i docinków najrozmaitszym osobom, które się panu Tarnowskiemu podobają, ale natomiast nie bardzo idą w smak hr. Branickiemu.

Już sama dedykacja przeciwnikowi wzbudza śmiech homeryczny, szczególniej w obec tego co hr. Tarnowski o dedykacji poprzedniej książki do autora napisał.

Otóż po opowiedzeniu pewnej przygody z biskupem katolickim pochodzenia żydowskiego w Rzymie i po krótkiem streszczeniu dziejów izraelitów w Polsce powiada hr. Br.: „Czy to prawem, czy to zwyczajem było, każdy starozakonny jeśli go szlachcic do chrztu trzymał, przez to samo do herbu przypuszczonym zostawał. Wiele rodzin historycznych a znakomitszych bierze początek od wychodźców z Jerozolimy. Tak On, Stanisław Tarnowski, potomek dawnych magnatów polskich, jak również ja Xawery Korczak Branicki, z tłustej szlachty aż do dziada mego Franciszka Xawerego, hetmana W. K. pochodzący, przysiądź nie możemy, że w żyłach naszych choć cząstka krwi Abrahama nie tętni. Łatwo się to da wytłumaczyć. Nowonawróceni w ogóle odznaczali się skrzętem a oszczędnością, wskutek czego grosz ich się trzymał. Nie zawsze tak się działo ze starą szlachtą; wypadało czasami klejnot odzłocić. Godną zadziwienia jest rzeczą, iż rodziny, które początek swój od Żydów ciągną, a których tu nie wymieniam, dlaczego wnet powiem — że rodziny te — powtarzam — *vulgo* mówiąc, najbardziej na żydach psy wieszają. Gdy zaś rysy twarzy wschodnie pochodzenie zdradzają, wtedy na kolligacje z Ormianami cała wina się składa".

Dalej następuje apologja izraelitów w naszym kraju i wykazywanie tego, co im zawdzięczamy.

Interesującą jest anegdota o Adamie Mickiewiczu, o którym autor powiada iż żył z nim w ścisłej zażyłości. Mistrz nasz miał często mawiać iż „Mój ojciec z Mazurów, matka moja Majewska z wychrztów; jestem więc na wpół Lechitą, na wpół Izraelitą i tem się szczycę".

Wyliczywszy różne zasługi wychodźców z Jeruzalem, autor podaje historję swego dziada, uczestnika Targowicy i ztąd przechodzi do sprawy zakupna obrazu Matejki znanego pod nazwą Sejm Grodzieński, na którym hetman w niekorzystnem świetle został przedstawiony. Oto słowa autora:

„Dodam tu jeszcze drugą dość zabawną przygodę mego błędnego żywota. Może ona Go zabawi, gdyż JW hrabia w Krakowie na szlaku mieszka. Przed wielu laty, roku nie pamiętam, panna Konstancja Wyleżyńska siostra pani Loewenthal, napisała do mnie list. Słów nie pomnę lecz treść była następująca: Jan Matejko wymalował obraz przedstawiający Sejm Grodzieński, gdzie figuruje dziad pański W. H. Koronny Franciszek Xawery Branicki, równie jak dziad po matce Szczęsny Potocki; znajduje się tamże ks. Marszałek Czartoryski z żoną. Autor obrazu zamierza go posłać na wystawę powszechną do Paryża. Radzę Panu obraz ten nabywszy, albo go *zniszczyć*, albo też schować".

„Odpisałem poczciwej pannie Konstancji iż kupować obrazu nie chcę, gdyż nie wypada aby on Montrezor (własność francuska hr. Br.) ozdabiał; spalić zaś dzieło sztuki uważam za czyn Wandala. *Historja jest historją*, każdy pisze i maluje jak mu się spodoba." Opisuje potem autor jak go proszono później o to, żeby poszedł do Napoleona III z prośbą aby obrazu nie dopuścił na wystawę — lecz nikt nie zdołał go przekonać. „Historja jest historją" powiada.

Nie wiemy potem *à propos* czego opisuje swój pobyt w Galicji. „Zrzadka i nie długo bywam w Galicji, najczęściej w Krzeszowicach i Zatorze, zaglądając czasem na krótko do Krakowa. Lecz roku zeszłego zostałem zaproszony przez J. O. Namiestnika Galicji, Lodomerji i W. ks. Krakowskiego, z którym od dzieciństwa łączą mię przyjazne stosunki i którego starsza córka wyszła za mąż za synowca mego Wł. hr. Branickiego właściciela dóbr Stawiszcza, leżących na Ukrainie, zarówno jak i Suchy od Wielopolskich nabytej a na podgórzu Karpat położonej. Do Lwowa tedy po raz pierwszy przybyłem, celem tych zaprosin była obecność moja na ślubie Jaśnie Wielmożnej, a jak łania pięknej hrabianki Klementyny z hrabią Tyszkiewiczem.

Włodzimierz hr. Dzieduszycki nie pozwolił abym u George'a stanął i gościnnie mnie dom swój ofiarował, gdzie przez parę tygodni mieszkałem, stołując się u hr. Alfreda Potockiego.

Tam we Lwowie nieco po lodomersku wyuczyć się zdołałem. Mówi się np. w Warszawie: „JW. Namiestnikowi tę sprawę opowiedziawszy, śmiem ją poprzeć i t. d. Po lodomersku zaś: *Excellencji* wszystko to *meldując* mam honor interes ten *forszusować*." Gdy kto wolno z jednego miejsca do drugiego przybył, mówi się: „kurjerem na indyku przyjechał," po lodomersku zaś: „*ciupasem* przywędrował."

„W Krzeszowicach, strzelec, który mi na polowaniu towarzyszył, przepiórki — wachtelami, kuropatwy — rebhunami, cietrzewie — berghanami, nazywał. W zwierzyńcu zaś, gdy dawał strawę jeleniom, wołał na nie nader tkliwym tonem: *Komm Hirsche, komm Hirsche, komm, komm, komm!"* Lecz co mię najbardziej zdziwiło, iż w domu mego siostrzeńca, Artura hr. Potockiego, na deszczkach podtrzymujących rogi zabitych jeleni lub kozłów, znalazłem wyraz: *rewir* zapewne z Sanskrytu wzięty, zamiast ostęp lub knieja. Miasto wyrazu naganka, mówiono powszechnie: *trejbka* i t. d."

„W domu, którego właściciel słusznie za patrjotę uchodzi, gdym się żalił na brak świeżego powietrza, spytał mię służący: Czy pan *Graf* każe *wasysdas* otworzyć, aby *luftu* napuścić? Pokazało się, iż pytający był rodem z Tarnowa."

W dalszym toku opowiada hr. B: „Dowiedziałem się także o istnieniu stronnictwa Stańczyków. Stronnictwo to ma być wielce zachowawcze a nieco ultramontanizmem *zapowietrzone*"... „Kto pragnie aby wiarę jego szanowano, powinien wiarę innych szanować. Nie metafizyka, ale zdrowy rozsądek tego nas uczy. Niech mi ten kaznodziejski wybryk darowanym będzie. Gdy religja z polityką, lub polityka z religją się łączy, sojusz ten zawsze się musi zakończyć prześladowaniem wewnątrz kraju. W Hiszpanji na stosach palono zarówno Żydów i Maurów,

jak i tych co o herezję obwinieni byli. Gdybyśmy byli obydwa w owych czasach w Hiszpanji żyli, zapewne by Najukochańszy Synowiec, ludzi na stos nie posyłał, ale ja niechybnie byłbym został spalonym."

Przedmowa kończy się takim wstępem:

„Sześć lat minęło od chwili, kiedy, sam blisko kopę lat licząc, Jaśnie Wielmożnej Ordynatównie Zamojskiej wdowie po ś. p. Aleksandrze Rembielińskim, dozgonną miłość i wierność zaprzysiągłem. Ślub odbył się w zakrystji w podziemnym lochu czyli krypcie, kościoła Magdaleny. Po ślubie do Włoch powędrowaliśmy. Zaczepiwszy w podróży o Rzym, gdzie J. W. Prałat Stolicy Apostolskiej Włodzimierz hr. Czacki, zmierzył mię wzrokiem marsowym, przepędziłem parę tygodni w Neapolu.

Z powrotem do Paryża, dowiedziałem się o zaręczynach hrabiego z moją synowicą. Z wielką serdecznością chociaż skromne śniadanie weselne wyprawiłem młodej parze, która tegoż dnia do stolicy Piastów i Jagiellonów odjechała. Kilkakrotnie odtąd J. W. hrabiego miałem zaszczyt spotykać a sumienie wcale mi nie wyrzuca, abym mu kiedy chociaż najmniejszy cień despektu okazał. Sądziłem tedy, że mogę Go prosić, aby o wyjściu przekładu *Kol - Kore*, w *Przeglądzie* wspomnieć raczył. Zdanie Jego było temu przeciwne; pozwalam sobie spór nasz w tej mierze przed sąd opinji publicznej oddać.

Za zbytnią zarozumiałość t. j. żem sobie pozwolił tłumaczyć książkę w duchu Talmuda napisaną, spotkała mię należna kara. Siostra moja Katarzyna Potocka i z Rzyszczewskich hrabina Zofia Wodzicka nietylko że mię listownie napomniały, ale i na lekką grzywnę (po lodomersku: *sztraf*) skazały.

Pokutę pokornie odbywszy, na nowo teraz grzeszyć mi wolno. Nie proszony więc, ani pytany niniejszą mą pracę właścicielowi *Przeglądu* poświęcam. Jeżeli hrabia będzie zadowolony, wielce mię to uraduje. Jeżeli zaś ofuknie i gniewem zapalczywym zapłonie, tedy udam się do nadobnej mej synowicy z prośbą, aby Go przebłagała, gdyż na szczęście hrabia nie jest ani bezżennym kapłanem, ani też mnichem zawziętym. Wszystko to wypowiedziawszy piszę się Jego powolnym sługą i podnóżkiem

Xawery Korczak Branicki.

Do tych opowiadań nie potrzebujemy dodawać żadnych komentarzy.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

za miesiąc Październik.

— *Cyceron M. T.* Pisma filozoficzne część II. zawiera: O wróżeniu. O przeznaczeniu. O przyjaźni. O powinnościach. O wynalezieniu retorycznem, przełożył E. Rykaczewski 8ka str. 573. Poznań 1880 zł. 4 ct. 80.

— *Edwards A. B.* Tysiąc mil na falach Nilu. Tłumaczenie z angielskiego przez hr. A. B. 2 tomy 8ka 251, 213. Lwów 1880. zł. 3 ct. 40.

— *Farina Salvator.* Ukryte skarby. Powieść 8ka str. 310. Lwów 1880. zł. 1 ct. 50.

— *Kaczała Stefan.* Polityka Polaków względem Rusi 8ka str. 367. Lwów 1879 zł. 1 ct. 50.

— *Kalendarz* powszechny galicyjski na rok przystępny 1880 ct. 50.

— *Kalendarz* pszczelniczo-ogrodniczy na rok 1880 ct. 50.

— *Kalendarz, Rok 1880* ct. 50.

— *Kalendarz. Kolega* (dla uczniów) na rok 1880 8ka oprawny w płótno ct. 60.

— *Kalendarz ścienny* na rok 1880 po 25 i 30 ct.

— *Kalendarz tualetowy* na rok 1880 ct. 15.

— *Kalendarzyk pugilaresowy* na rok 1880 po 20 i 25 ct.

— *Kalendarzyk malutki* na rok 1880 po 25 i 40 ct.

— *Kozubowski F.* Z życia Polaków po świecie (opowiadania i obrazki) Serja I. tom I. 8ka str. 188. Cieszyn 1879 zł. 1 ct. 20.

— *Masoni* czyli wolno-mularstwo, co chcą, co działają i do czego dążą? drugie wyd. 8ka str. 76. Cieszyn 1879 ct. 36.

— *Przyborowski W.* Rubin wezyrski Powieść historyczna 8ka str. 217. Lwów 1880 zł. 1 ct. 80.

— *Rohling Aug.* Tajemnice Talmudu czyli zasady żydów względem Boga, wiary i chrześcian. Drugie wyd. 8ka str. 57. Cieszyn 1879 ct. 30.

— *Rychter J.* O zapobieganiu wylewom rzek przez odwrócenie nadmiaru wód od łożysk naturalnych z zastosowaniem do górnego Dniestru z jedną tablicą rysunków 8ka str. 35. Warszawa 1879 ct. 50.

— *Sabowski W.* Pozory, powieść 2 tomy 8ka str. 216 191. Lwów 1880 zł. 3.

— *Schossburg H.* Brama pokuty. Elegja historyczna przez znakomitego Gabryela syna. Jozuego Dzieło drukowane w Amsterdamie 1651 r. Przekład polski dokonano ze współpracownictwem Xawerego Korczak Branickiego 8ka str. 64. Paryż 1879 zł. 1.

— *Słowacki Juljusz.* Pisma chronologicznym porządkiem do druku ułożone przez Dr. Antoniego Małeckiego tom I. II. 8ka str. 359, 389 Lwów 1880 w prenumeracie za cztery tomy zł. 4 ct. 80.

— *Sypowski Kaz. ks.* Kazania (w podobieństwach i przykładach) na niedziele i święta uroczyste 2 tomy 8ka str. 260, 257. Cieszyn 1879 zł. 4.

— *Tarnowski Jan,* Consilium rationis Bellicae. Drukował Łazarz Andrysowicz w Tarnowie 1558. Z egzemplarza pergaminowego Biblioteki Puławskiej, przedrukował homograficznym sposobem A. Piliński 8ka Poznań 1879 zł. 3 ct. 60.

— *Wilczyński A.* (Autor „Kłopotów starego komendanta)" Misja familijna. Opowiadanie. 8ka str. 218. Lwów 1880 zł. 2 ct 60.

— *Zgórski A.* Piąty rocznik stowarzyszeń zarobkowych i gospodarskich w Galicji i W. Ks. Krakowskiem. 4° str. 44. Lwów 1879 zł. 1 ct. 25.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i nauka.

⁂ Opuścił świeżo prasę tom czwarty znakomitego dzieła „Historja Polski pierwotnej" nieodżałowanej pamięci Juljana Bartoszewicza.

⁂ Wyszła obecnie ciekawa broszura, napisana przez pana St. Kosińskiego, inżyniera budowniczego „O warunkach akustycznych wymaganych w budownictwie".

Autor zajmuje się umiejętnie akustyką kościołów, audytorjów, teatrów i miejsc koncertowych w ogrodach.

Broszura zawiera wiele praktycznych rad i spostrzeżeń.

⁂ W Toruniu d. 16. b. m. wydział historyczny toruńskiego towarzystwa naukowego odbył posiedzenie, na którem ks. Kujota odczytał rozprawę p. t. „Zapomniana kasztelanja i ziemia pomorska" ks. Gapiński „Monografję Narwy" a p. Adam Sierakowski: „Pokłosie polskie na rumuńskiej niwie".

⁂ P. N. N., obywatel z opoczyńskiego, nadesłał do redakcji „Kurjera codziennego" rs. 500, przeznaczając je na nagrodę konkursową za napisanie książki, któraby w formie najprostszej i najprzystępniejszej i najbardziej przemawiającej do umysłów prostaczych zawierała cały zasób moralny i praktyczny wiedzy, koniecznej dla naszego włościanina.

Ma to więc być encyklopedja cała, streszczająca wszystko, co tylko wiedzieć trzeba i jest pożytecznem dla wieśniaka.

Forma jej, mówi ofiarodawca, nie ma być suchym, dydaktycznym wykładem, ale żywą opowieścią przemawiającą jednocześnie do rozumu i wyobraźni, opierającą się co chwila na praktycznych przykładach i związaną z obrazami lub opisami realnego życia.

Na sędziów konkursu p. N. N. wyznacza księdza i dwóch ziemian opoczyńskich, jako najlepiej znających potrzeby i stosunki ludu wiejskiego; dobiorą oni sobie według uznania dwóch literatów.

Termin konkursu 1. stycznia 1881 roku.

⁂ Prace kongresu międzynarodowego lekarzy w Amsterdamie trwały od 7. do 13. września r. b. Zebrani rozdzielili się na 9 sekcyj. Z pomiędzy lekarzy naszych, podczas obrad wydziału akuszerji i ginekologji, dr. Neugebauer przedstawił przyrząd swój do operacji przetok pęcherzo-pochwowych, a dr. Szczygielski przedstawił przypadek ze swej praktyki. Na posiedzeniach ogólnych dr. Landowski z Paryża przedstawił między innemi spostrzeżenia swe nad działaniem klimatu algierskiego w suchotach płucnych.

⁂ Powszechny wiec związkowy niemieckich literatów w Dreźnie, w którym wzięło udział tylko około 50 członków towarzystwa, ukończył swoje posiedzenia. Najgłówniejsze jego postanowienia są: utworzenie sądu rozjemczego dla pisarzy z siedzibą w Lipsku, wybór komisji finansowej i przyjęcie wniosku urządzenia za pośrednictwem związku literatów narodowej składki na wzniesienie pomnika Karolowi Gutzkowowi. Dnia 5. października o 3 po południu dany był obiad dla uczestników zjazdu. Dnia 6. rano odbyła się wycieczka do Meissen, urządzona staraniem drezdeńskiego towarzystwa literackiego.

⁂ W Manchestrze otwarto dwudzieste trzecie roczne zgromadzenie kongresu dla umiejętności społecznych. Obradom przewodniczy czasowy prezydent biskup Manchestru. Kongres trwa ośm dni.

⁂ W Kazaniu towarzystwo przyrodników zamierza urządzić wkrótce wystawę antropologiczną.

⁂ Na Mont-de-Mignons we Francji zbudowane będzie obserwatorjum astronomiczne; rząd nabył już odpowiednią ilość gruntu, na którym obok obserwatorjum zamierzono też utworzyć stację agronomiczną.

⁂ Dotychczas wyszły z druku następujące kalendarze na rok 1880.

„Kalendarz powszechny", nakładem Księgarni Polskiej cena 30 ct.

„Rok 1880 cena 50 ct.

„Kalendarz pszczelniczo-ogrodniczy" cena 50 ct.

„Kolega" kalendarz dla uczniów na rok szkolny 1879/80 cena 60 ct.

„Noworocznik Polski" na r. 1880, cena 48 ct.

Prasa perjodyczna.

⁂ Bibioteka Warszawska, w zeszycie za m. październik r. b. zawiera: I. Tomasz Olizarowski, przez Sewerynę z Żoch. Duchińską. II. Cnota i występek, rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. III. Rzut oka na piśmiennictwo w Ameryce południowej, przez A. G. IV. Przemysł cukrowniczy w Królestwie polskiem, przez Ant. Wrotnowskiego. V. Kronika Paryzka, literacka, naukowa i artystyczna. VI. Głos prasy niemieckiej w sprawie jubileuszu J. I. Kraszewskiego, przez F. I. VII. Przegląd teatralny za rok 1878. VIII. Trzecia wystawa rolnicza w Szawlach, przez Zygmunta Glogera. IX. Przegląd piśmiennictwa krajowego i zagranicznego. X. Wiadomości bieżące, literackie, naukowe i artystyczne. Nekrologja.

Sztuki piękne.

⁂ Matejko oświadczył, iż złoży ofiarę na muzeum sztuki fundujące się w Sukiennicach, teraz wszakże nie ma nic gotowego; gdyby ze względu na stan zdrowia nic nie dał, to po śmierci jego dowie się kraj, co dlań pozostawił.

⁂ W Stanisławowie w Towarzystwie muzycznem imienia Moniuszki, wakuje posada dyrektora.

Kandydat winien być dobrym skrzypkiem i znać chociażby jeden język słowiański.

⁂ Donoszą iż Juljusz Zarębski powołany został na profesora konserwatorjum brukselskiego.

Teatr.

⁂ W berlińskim „Residenztheater„ zajmującym w stolicy niemieckiej drugie po teatrze nadwornym miejsce i dostępnym tylko dla doborowych pisarzy niemieckich i francuskich, przedstawiono świeżo „Posażną jedynaczkę“ Aleks. hr. Fredry syna. Szumbalińskiego wybrał sobie na pierwszy występ gościnny sławny Dessoir, największy dziś komik Niemiec; współudział jego zapewnia sztuce kilkadziesiąt przedstawień.

Krytyka berlińska jaknajpochlebniej wyraża się o sztuce „sympatycznego poety polskiego, którego potężny talent i pomysłowy humor za mało dotąd w Niemczech zostały ocenione.“

⁂ Z sfer operowych dochodzi nas wieść—którą wszakże podajemy z wszelkiem zastrzeżeniem — iż tenor opery Warszawskiej p. Franciszek Cieślewski, podał się do dymisji.

⁂ Sardou napisał nową komedję przeciwko ateizmowi; role główne obejmą Delaunay, Coquelin i Worms.

⁂ Suppe pisze nową operetkę „Juanita“, która ma być w roku 1881 wystawioną w wielkiej operze paryskiej.

⁂ Krytyka teatralna.

Wychodzące w Retz w Niższej Austrji czasopismo „Der krumpe Hiarst“, organ włościan okolicznych, jak się samo zowie, zamieszcza sprawozdanie z przedstawienia „Trubadura“ w wiedeńskiej wielkiej operze danego, napisane przez „specjalnego korespondenta“, którego wymienione pismo umyślnie na wystawę królików wysłało do stolicy.

Sprawozdanie to opiewa:

„Wczoraj o godzinie 9 minut 28 wieczorem, zmarła wśród ciężkich walk i cierpień duchowych na scenie tutejszej opery, wobec setek widzów, hrabina Eleonora.

Zachowanie się nieszczęśliwej przed śmiercią, która ciągle „warjackie“ melodje śpiewała, pozwalało wnosić, że jest ciepiącą na umyśle.

W tym smutnym stanie popełnila samobójstwo trując się.

W niespełna kwandrans po tej katastrofie wybuchł pożar w pałacu hrabiego Luna.

Teatralna straż ogniowa nie mogła jednak stłumić ognia, który pochłonął zupełnie pałac hrabiowski.

Podczas tych nieszczęść zjawiają się na widowni rozmaici poprzebierani ludzie, którzy zamiast ubolewać — wyśpiewują sobie!

Cóż powiecie, dobrzy czytelnicy, na taką cyniczną bezbożność?

Śpiewać przy tak okropnem nieszczęściu!“

Nie gorszą w swoim rodzaju jest krytyka tragedji szyllerowskiej „Intryga i miłość“, napisana w r. 1875 w Dreznie przez więziennego spowiednika Stasche, a zamieszczona w ówczesnej „Dresdner Zeitung“.

Krytyk ów tak się wyraża o tej tragedji:

„Teatr nasz rozpoczął swoje przedstawienie sztuką niejakiego Schillera p. t. „Intryga i Miłość“.

Jest to bardzo nieprawidłowe i przesadzone dzieło sceniczne, chociaż nie brak takowemu pięknych djalogów i miejsc wysoce tragicznych.

Schiller okazuje wprawdzie talent, jednak jest on dzikim i wielkim partaczem, co się tyczy budowy sztuki

Pytamy, dlaczego przedstawia on w swoim utworze w tak pięknem świetle samobójstwo? dlaczego sprawcy złego, prezydent i sekretarz, nie otrzymują zasłużonej kary?

Zamiast innych mordować, lepiej byłoby, żeby jeden drugiego pozabijał.

Co znaczy to idealizowanie rozbójnictwa? czy autor ma zamiar nawracać widzów do „brigantagio?

Zresztą „tragedja“ ta nie zasługuje na obszerniejszą ocenę, a przekonani jesteśmy, że dnie jej na scenie niemieckiej są policzone.“

Wiadomości społeczne i ekonomiczne.

⁂ Jeden z chodników podziemnych w kopalniach Wieliczki 11-go października otrzymał nazwisko Kraszewskiego.

⁂ W Glasgowie w tych dniach szczególną urządzono manifestację. Mianowicie głównemi ulicami miasta przeszedł pochód pozbawionych środków do życia. Na początku tego tłumu szło 30 konstablów. Niesiono też wielkie plakaty z napisami: „Potrzebujemy pracy a nie dobrodziejstwa albo zatrudnienia w domu ubogich.“ Porządek panował wzorowy.

⁂ Telegram z Hawanny donosi, iż trzech plantatorów na wyspie Kubie obdarowało wolnością 6,000 niewolników.

⁂ Berlin zaniepokojony został kilkoma wypadkami tajemniczego zniknięcia młodych dziewcząt; policja, mimo bardzo starannych poszukiwań, nie mogła dociec dotychczas co się z niemi stało.

⁂ Prefekt Sekwany rozporządził, ażeby duchowna pociecha udzielaną była w szpitalach tym tylko chorym, którzy sobie tego wyraźnie życzyć będą.

⁂ Do Chicago przybył uczony chińczyk, Wong-Chin-Foo, dla nawracania chrześcijan na pogaństwo; rozpoczął on tam cały szereg kazań misyjnych, które mają być niezmiernie zręczne.

⁂ W Berlinie komisja złożona z członków municypuum Berlina pod przewodnictwem pierwszego burmistrza radziła nad kwestją palenia zwłok; komisja ta postanowiła starać się u rządu o pozwolenie zbudowania budynku do palenia zwłok.

⁂ Według „Bulletin des Halles,“ tegoroczne zbiory zboża we Francji dały tylko $76\frac{1}{2}$ miljonów hektolitrów, podczas gdy przeciętnie wynosiły wpierw 102 miljony; również i zbiory buraków cukrowych były małe.

⁂ W San-Francisco, prof. Colgrave z towarzyszem, wsiadłszy do balonu podczas silnego wiatru wrzuceni zostali na druty telegraficzne, które balon przecięły. Profesor i jego towarzysz wypadli z łódki na bruk i wyzionęli ducha na miejscu.

⁂ Z Ameryki donoszą: Profesor Wise, który wraz z dwiema osobami puścił się balonem w St. Louis, zginął bez wieści w puszczy Macoupin.

⁂ „Pesti Naplo“ donosi, iż w synagodze miasteczka węgierskiego Szolywa zdarzyło się w święto Trąbek wielkie nieszczęście. Synagoga ta, zbudowana nad łazienkami i mocno już zniszczona, była przepełnioną. Podczas odbywanego nabożeństwa zawaliła się podłoga w przedziale kobiet i około 40 osób wpadło do umieszczonego pod nią basenu. Powstał nieopisany popłoch. Zaczęto się cisnąć ku drzwiom. Wiele osób zostało w natłoku zaduszonych. Ogółem wydobyto z basenu 15 kobiet i jednego chłopca nieżywych, a 12 osób mocno pokaleczonych. Na domiar nieszczęścia nie było w miejscu lekarza, którego trzeba było sprowadzić aż z Munkacza.

⁂ W Kezdi-Vasarhely wydarzył się w tych dniach oryginalny wypadek samobójstwa. Pewien urzędnik, zgrawszy się w karty, udał się umyślnie do groty naturalnej w Büdo, w Siedmiogrodzie, i położył się w miejscu, gdzie ze szczeliny skalnej wydobywa się kwas węglowy. Znaleziono go tam nieżywego. W wspomnionej grocie popełniono już kilka samobójstw.

Wynalazki i odkrycia.

⁂ Pokłady galmanu zostały odkryte w dniu 4. września w powiecie będzińskim, w gminie Gzichów.

⁂ W tych dniach we wsi Sikucin, w powiecie sieradzkim odkopano cmentarzysko pogańskie.

Wydobyto wiela urn, ławnic, glinianych miseczek i kilka przedmiotów kamiennych.

Wszystko to zostało odesłane jednemu z archeologów warszawskich.

⁂ Zabytki archeologiczne.

We wsi Kossobudy, w płockiem, włościanie przy kopaniu dołów na kartofle znaleźli kilka popielnic.

Przypuszczają, że musiało tu być cmentarzysko pogańskie.

⁂ W Poznańskiem w tych dniach, na gruntach gospodarza Witkowskiego na Wildze, odkryto kilka grobów pogańskich, w których znaleziono urny rozmaitego rodzaju i łzawice.

⁂ W pobliżu Sobastopola robione są poszukiwania w ziemi przez odeskie Towarzystwo historyczne. Oprócz fundamentów dwóch bazylik i kościoła z podłogą mozajkową, odkrytych w roku przeszłym, odnaleziono obecnie podstawę posągu spiżowego. Znajduje się na niej staro-heleński napis w dwóch połowach, każda po 56 strof. Napis siega drugiego wieku przed Chrystusem. Towarzystwo odeskie zajęte jest jego przetłómaczeniem.

⁂ Zapewniano nas, iż wynalazek p. Topolnickiego, Lwowianina, Antihigrasma, środek przeciwko wilgoci, zastosowany w wielu gmachach rządowych i prywatnych, w Warszawie dał, jak się obecnie okazuje, zadawalające rezultaty.

⁂ W Monaco w Condamine odkryto szereg grobów starożytnych, mieszczących szkielety leżące na wznak, z rękami złożonemi; groby te zdają się sięgać piątego wieku ery chrześciańskiej.

⁂ W Hollandji poszukiwania czynione na miejscu dawnej kolonji rzymskiej uwieńczone zostały odkryciem w pobliżu Backersbosch willi, której rozmiary i piękność przewyższają dotychczas odkryte budowle; w kilku oczyszczonych pokojach znaleziono mnóstwo przedmiotów sztuki, różne monety i cenne marmury.

⁂ Geologiczna ekspedycja wysłana do Winnipeg odkryła znaczne bardzo pokłady węgla i innych minerałów w południowo-zachodnich terytorjach Stanów Zjednoczonych Ameryki.

⁂ W Meksyku na pograniczu Durango i Cochuila, w tak nazwanej Sierra Mojada, odkryto bogate pokłady srebra.

⁂ Niemieckie urzędy telegraficzne zaprowadziły telefony systemy Siemensa w 685 miejscowościach. Największa odległość, na jaką może być przesłaną depesza, wynosi 75 kilometrów. Zarząd poczt zamierza wyznaczyć nagrody na udoskonalenie telefonów.

⁂ W Pola dyrektor Jan Palisa odkrył znów nowego planetę dwunastej wielkości.

⁂ W Blackpool wskutek doświadczeń zadawalniających, municypalność miasta postanowiła zastąpić światło gazowe elektrycznem. Decyzję tę wprowadzono w wykonanie w dniu 19 z. m. Całe miasto zostało oświetlone elektrycznością. Przeszło 80,000 osób przybyło kolejami żelaznemi dla zobaczenia skutku nowego oświetlenia. Blask światła był tak silny, iż wydawało się jakoby w mieście urządzoną została olbrzymia illuminacja.

Handel i przemysł.

⁂ W Ameryce wykonane próby ogrzewania domów w całem mieście z jednego centralnego punktu, za pomocą pary, przyniosły tak zachęcające rezultaty, że obecnie system ten w różnych miastach ma być zastosowany. Buffalo było pierwszem miastem amerykańskiem, w którem centralne ogrzewanie parą zostało zaprowadzone. W zimie r. 1877 i 1878 ogrzewano tam 50 domów i gmach szkolny w ten sposób. Próba powiodła się doskonale; ogrzewanie było dostateczne i łatwo dało się regulować — a daleko mniejsze wynosiło koszta, niż ogrzewanie oddzielnych domów i pokoi. Teraz założono już 30 kilometrów rur łączących znaczną część miasta z punktem centralnym. Za przykładem Buffalo, poszło Detroit i Lockport w ubiegłym roku. Oba te miasta znajdują się w północnej stronie Stanów-Zjednoczonych, gdzie w porze zimowej chłód bywa przenikliwy. Niedawno utworzyło się w Nowym-Jorku towarzystwo akcyjne, mające zamiar urządzić centralne ogrzewanie parą we wszystkich większych miastach amerykańskich. Władze nowojorskie zezwoliły na założenie w tem mieście sieci rur parowych.

⁂ W Monachjum postanowiono urządzić w 1881 roku wystawę przemysłową.

Statystyka.

⁂ Podług obliczeń pewnej niemieckiej gazety, na całej kuli ziemskiej, z wyjątkiem zresztą Chin i Japonji, ma się znajdować 58 miljonów koni...

Najwięcej koni, bo 21,570,000, liczy Rosja, Stany Zjednoczone — 9,000,000, rzeczpospolita Argentyńska — 4,000,000, Austrja — 3,400,000, Niemcy — 3,352,000 itd. itd.

Ciekawe tylko rzeczy, o ile te cyfry są... autentyczne?

⁂ W Nowym Yorku w ciągu r. b. do 31 sierpnia włącznie, zbudowano 1450 domów, których wzniesienie kosztowało 16,351,512 dolarów.

Zjawiska przyrody.

⁂ W Temeswarze i w niektórych innych miastach pobliskich skonstatowano trzęsienie ziemi.

⁂ W Belgradzie 10 października po południu o godzinie 4 minut 36 dało się uczuć trzęsienie ziemi, trwające ośm sekund.

⁂ Obfite i uporne deszcze spowodowały groźne powodzie w wielu prowincjach Anglji.

ROZMAITOŚCI.

Gra w Szachy.

Szachy od dawna były u nas w użyciu; świadczą o tem figuryczne wyrażenia znajdujące się w dziełach najstarszych pisarzy, jak Górnickiego, Bazylika, Birkowskiego. Rysińskiego i innych.

Birkowski w kazaniu z ambony przemawia, sławiąc swojego bohatera:

„Mógł im szach i mat dać i ukazać niejednemu wrota do rozumu“ — co świadczy, iż grę w szachy uważano za zabawę szlachetną, skoro wyrazami z niej ozdabiano uroczyste przemówienia.

Pisano jednak o szachach u nas bardzo mało.

Z wieku XVI mamy w druku jedynie poemat Kochanowskiego *Szachy*, oraz traktat Ostroroga w rękopiśmie; wieki XVII i XVIII, płodne dla literatury szachowej za granicą, u nas nic nie wydały; dopiero w wieku bieżącym to i owo się zjawiło, zawsze nie przekraczając bardzo skromnej miary.

W roku 1810 niejaki B. G. pierwszy u Bogumiła Korna w Wrocławiu dał w tłómaczeniu kilkadziesiąt stroniczek niby teorji szachów w *Najnowszym Almanaku* poświęconym grom rozmaitym; później pisali Krupski, Libelt, Mierosławski, Jeżewski i Helcin, po większej części bardzo dorywczo i na tem koniec.

Z pomiędzy tych wszystkich wyróżnia się jedynie były redaktor *Gazety warszawskiej* i *Codzienej* Jan Nep. Kazim. Krupski, który zakończenia partji bardzo starannie opracował, oraz dzisiejszy redaktor *Ekonomisty* p. Ant. Aug. Eger, który pod pseudonimem Helcina ogłosił systematyczny zbiór partji, bardzo umiejętnie wybranych i objaśnionych przystępnym wykładem zaczynania gry, czyli tak zwanych „debiutów.“

Całkowitej systematycznej nauki gry w szachy, takiej jak np. dla Niemców zrobił Hildebrand von der Lasa, wcale nie mamy, a tem mniej możemy mieć specjalne czasopismo szachowe, o którego założeniu przed kilku laty myślano w Warszawie.

Tymczasem w piśmiennictwach zagranicznych, zwłaszcza niemieckiem, angielskiem, francuskiem i włoskiem, dzieła szachom poświęcone tworzą już całe bibljoteczki.

Niektórych specjalność i rozmiar prawdziwie w zdumienie wprawia.

Tak np. lipski profesor Lange napisał po niemiecku ogromny tom teorji zadań szachowych.

Profesor Jänisch w Petersburgu ogłosił po francusku ogromny traktat dwutomowy o zastosowaniu wyższej matematyki do gry w szachy.

Teraz w dziennikach czytamy, że jakiś dr. L. Wekerle ogłosił w Lipsku u znanego wydawcy dzieł szachowych Veit'a ani mniej, ani więcej tylko *Filozofję szachów!*

Jest to, jak ze sprawozdań wnosić można, cała teorja gry szachowej oparta na prawidłach matematyki, logiki formalnej i psychologji!

Co jednak nadewszystko ucieszyć powinno naszych szachistów, to świeże ogłoszenie u tegoż Veit'a w Lipsku dzieła p. t. *Der internationale Schachkongres zu Paris.*

Książka ta, opracowana przez Schalopp'a w Berlinie, zawiera 119 partji i 27 zadań szachowych, z objaśnieniami najzawołańszych szachistów.

Wiadomo zaś, że między uczestnikami kongresu najwybitniejsze stanowisko zajmowali bojownicy przybyli od nas, albo przynajmniej śród nas urodzeni.

Nasi miłośnicy szachów może pomyślą o przetłómaczeniu tej książki, która oprócz zabawy i pożytek jaki taki przynieść może.

⁂ Babie lato. W dodatku do wiadomości podanej przez siebie o pająku szeroko rozpowszechnionym w pasie zwrotnikowym, a prawdopodobnie przez wiatr roznoszonym d. Mac Gook wspomina o spostrzeżeniach swoich nad lotem w ogóle innych pająków, a mianowicie z rodzaju „Lycosa“. Obserwacje jego w streszczeniu podaje „Przyroda i Przemysł;“

Przedewszystkiem pająk wyłazi na jakiś punkt wzniesiony, jak np. na wierzchołek słupa, żerdzi, lub czegoś podobnego. Tu podnosi do góry odwłok prawie pod kątem prostym do gorsetu i wypuszcza wiązkę nitek z brodawek, zwracając się w różne strony, dopóki się głową naprzód wprost pod wiatr nie ustawi. Wtedy wyciąga nogi i zwraca je płasko w kierunku wiatru z zupełnie wyciągniętemi stawami, przyczem przybiera postać, jakby znacznemu z góry ulegał ciśnieniu. — Nagle odrywa się współcześnie wszystkiemi ośmioma nogami, ciska w powietrze i wiatrem uniesiony zostaje, zwykle grzbietem na dół, chociaż niekiedy i w prostem położeniu. Z początku leci tyłem, ale następnie zwraca się po większej części głową naprzód. Wiązka przędzy silnie nogami przytrzymywana leci pierwsza; niekiedy pająk wzdłuż niej się posuwa, jak gdyby chciał środek ciężkości zmienić właściwiej. Tymczasem wysuwa nić albo wiązkę drugą i sadowi się w kącie między dwoma albo trzema takiemi żaglami, szeroko od siebie na przednich, swobodnych końcach, oddzielonemi. Nogi ma również oplątane cieniuchnemi nitkami, przez co łatwiej się w powietrzu utrzymuje. Tym sposobem pająk przenoszony jest przez wiatr w kierunku poziomym na odległe przestrzenie, a nawet przez wstępujące prądy powietrza wysoko w górę.

Może on dowolnie podróż tę przerwać, jak skoro ściągnie pazurami nitki pajęczyny naprzód lecące, a następnie za pomocą szczęk zwinie je w maluchny biały kłębuszek. Częściej jednak lot jego tem się kończy, że pająk na wyniesionym jakim przedmiocie osadzony zostaje, albo że wiatr ucichnie. — W pogodnych i ciepłych dniach październikowych zjawisko to, u nas pod nazwą „babiego lata“ znane, obserwować można.

⁂ Za lat pięćset.

Scena: gabinet w domu starego jegomości gdziekolwiek w Australji.

Podeszły jegomość telegrafuje do mieszkania służby i zjawia się Jan, wychodzący z rury za pomocą ciśnienia powietrza.

Pan: Janie, idź do remizy i napełń balon familijny gdyż moja żona i dzieci pojadą o czwartej do Kalkuty na bal do pana Kohnsoha; później przygotuj mój mały balon i nadmij go również gazem, bo mam natychmiast polecieć na giełdę londyńską, ale zamierzam jeszcze przed czwartą powrócić, aby towarzyszyć mej żonie z jakie sto mil. Ona powróci o drugiej rano; gdyby było ciemno o tej porze, to załóż światło elektryczne, tak jednak iżby świeciło na 200 — 300 mil. Rano spodziewam się odwiedzin mych przyjaciół z Hongkong i San Francisco, nie zapomnij więc zatelegrafować do Paryża do Chaweta następców o pasztety à la Napolaon XVIII; dodaj jednak, iżby o wpół do szóstej doszły do nas ciepłe.

⁂ W Nowym-Yorku zawiązać się miała „liga ku wytępieniu plemienia żydowskiego“.

Jeżeli wiadomość nie jest humbugiem, a projekt nie humorystyczną parodją dawniejszych, równie niefortunnych pomysłów, to projekt najświeższy wystawił sam sobie pomnik śmieszności.

W statutach towarzystwa znajdują się np. takie postanowienia, iż nie należy wybierać żydów do parlamentu dlatego, ponieważ w Anglji Disraeli, Juljusz Simon i Cremienx we Francji, Lasker w Niemczech i t. p, doszli do wielkiego na sprawy państwa wpływu, co zapewne, według proroczych widzeń ligi, sprowadzić może koniec świata...

Do teatru nie należy chodzić dlatego, ponieważ tam grają żydowscy aktorowie sztuki żydowskich pisarzy i kompozytorów.

Należy w przyszłości zapobiedz temu, aby potomkowie Racheli i Dawisona, jak np, Sara Bernardt, zdobywali sobie imiona w świecie sztuki.

Liga zobowiązuje się nie słuchać nawet Krystyny Nilsson, bo jej impresario Strakosz jest żydem; zobowiązuje się nie odwiedzać koncertów, na których grają lub śpiewają dzieła Mendelsona, Mayerbeera, Halevyego, Offenbacha Joamina i innych.

Nie należy też chodzić do kościołów, w których śpiewają psalmy Dawida.

Nie trzeba czytać pism Disraelego, Bertolda, Auerbacha, Heinego i t. p.

Liga zobowiązuje się nie abonować nigdy gazety *Neu-York Herald*, ponieważ właściciel tejże w przyjaznych żyje stosunkach z rodzinami żydowskiemi, tak samo wzbraniają się abonować illustrowany tygodnik Harpera, ponieważ rysownik jego jest żydem.

W końcu obowiązuje się nigdy nie subskrybować na pożyczki Stanów Zjednoczonych, ponieważ takowe pokrywane bywają zwykle przez firmy żydowskie Seligman et Comp. i Belmont.

⁂ Nowy sport.

Najnowszy sport zasadza się na uszlachetnianiu kotów, w celu używania ich w charakterze — listonoszów.

Temi dniami robiono z niemi próby w Lüttichu.

Wsadzono do worków 37 kotów, wywieziono je i następnie wypuszczono o godzinie 2-giej po południu.

O szóstej minut 48 przybył z powrotem pierwszy kot, za nim powracały inne; tak, że w ciągu doby wszystkie napowrót przybyły.

Odległość wynosiła około cztery mile.

⁂ Spadki po prezydentach Stanów Zjednoczonych.

Baltimore Gazette podaje następujące dane o majątkach posiadanych przez różnych prezydentów.

Washington pozostawił 800,000 dolarów majątku.

Jefferson żył w tak trudnych warunkach, iż, gdyby kongres nie był odkupił od niego za 20,000 dolarów bibljoteki, byłby niezawodnie musiał ogłosić przed śmiercią bankructwo.

Madison doszedł oszczędnością do znacznego majątku.

Monzoe umarł w takim niedostatku, że pogrzeb odbył się kosztem jego krewnych.

John Qumezy Adams pozostawił około 50.000 dolarów, a syn jego Charles Francis Adams również zdołał zebrać wielki majątek.

Jackson w chwili zgonu nie w najgorszym znalazł się położeniu, a spadek Van Burena przedstawiał sumę około 300,000 dolarow.

O tym ostatnim mówią, iż podczas swej administracji nie pobierał pensji i dopiero przy złożeniu urzędu odebrał naraz 100,000 dolarów.

Polk zdołał oszczędzić około 100.000, a Tyler również tyle, lecz pozostały majątek ostatniego miał źródło w bogatem ożenieniu.

Fillmore był bardzo oszczędny i ożenił się bogato.

Pierce zaoszczędził około 50,000 dolarów, Buchanan zebrał 200,000, Lincoln około 75.000, a Johnson blisko 50,000 dolarów.

⁂ Moskwa wyzywa Warszawę na pojedynek.. szachowy!

W tych dniach znany tutejszy szachista p. Winawer otrzymał od kółka szachistów w Moskwie propozycję rozegrania przez korenspondencję dwóch partji pomiędzy szachistami Moskwy z jednej strony i Warszawą z drugiej.

Jedną z partji zaczynać ma Warszawa, drugą Moskwa.

Gra powinna się rozpocząć dnia 13 listopada r. b.

Czas do namysłu na każde posunięcie—pięć dni i prócz tego na korenspondencję — trzy.

Stawka na każdą partję, jak proponuje Moskwa, ma wynosić po 250 albo po 100 rubli.

Prawdopodobnie rękawica rzucona szachistom warszawskim zostanie podjęta.

Odpowiedzi od Redakcji.

P. A. Godek w Michałkowicach. Wyraz bibljoteka, choć cudzoziemski, jest od dawna przyjęty i upowszechniony, uważamy go więc za najodpowiedniejszy.

P. Wolice. Nadesłane wiersze nie mogą być drukowane w Tygodniu.

P. A. J. Bron. we Lwowie. Wiersz do J. I. Kraszewskiego nie może być drukowany.

Treść Nr. 39.

Z drukarni Dziennika Polskiego, pod zarządem Leona Zubalewicza. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.